EPOKA

ROK IV. Warszawa, 20 lipca 1937 r. Rok IV, Nr. 14 (93)

Treść numeru:

DROGA DO LUDU A FURTY KOŚCIELNE — W. Rzymowski

DZIWY ŻYCIA GOSPODARCZEGO — An. Dem

PRAWDZIWY GŁOS SPOŁECZEŃSTWA — St. Grostern

Z DNIA NA DZIEŃ: Farbowane lisy. — „Rękę karaj, nie ślepy miecz!" — Rehabilitacja imienia. — Hitlerofil w pułapce. — Judaszowe apostolstwo. — Temat dla Studnickiego.

SOCJALIZM WŁOSKI A WALKA O WOLNOŚĆ — Carlo Rosseli

SZLACHTA FOLWARCZNA I BISKUPI W POWSTANIU KOŚCIUSZKOWSKIM — W. K. Bieńkowski

SŁOWA, KTÓRE ICH NIE DOSZŁY — Wł. Wiskowski

APEL DO LUDZI NAUKI

WYDARZENIA I DOKUMENTY

DROGA DO LUDU A FURTY KOŚCIELNE

Na oczach naszych, w przeciągu kilku tygodni, zawaliło się rusztowanie, na którym sfery obszarniczo-plutokratyczne długo i pracowicie budowały gmach swej politycznej przewagi w Państwie. Rusztowaniem tym był wpajany w rządy pomajowe dogmat o głębokim sklerykalizowaniu naszych mas ludowych.

Wedle dogmatu tego, który coraz silniej nabierał amarantowego rumieńca doktryny urzędowej, pracownicy umysłowi, studenci, robotnicy a już osobliwie chłopi, stanowić mieli niepodzielną domenę wpływów, idących poprzez plebanie parafialne i kurie biskupie z włoskiego Watykanu. Kto tedy chciał znaleźć dostęp do serc i umysłów ludu polskiego, ten — posłuszny owemu dogmatowi — nie miał jakoby innej drogi, jak przez furty kościelne.

Ale oto nastąpiło małe wstrząśnięcie, które ów dogmat rzekomo niewzruszony poddało pierwszej nieśmiałej próbie wytrzymałości: jeden z hierarchów kościoła, nie przekraczając zresztą — w swoim mniemaniu — należnych sobie prerogatyw, popełnił coś, co go postawiło w kolizji nie tylko z kodeksem impoderabiliów, ale i z panującym systemem rządów.

Możny arcybiskup, rzekomo wielbiony arcypasterz, pozbawiony został na chwilę protekcji świeckiego ramienia... I cóż się okazało?

Całe społeczeństwo polskie, z wyjątkiem szczupłych liczebnie ośrodków plutokracji tudzież pewnych grup uzależnionej od nich ciemnej, sfanatyzowanej kołtunerii, w sposób żywiołowy ujawniło postawę, która z klerykalizmem nie ma nic wspólnego. Społeczeństwo polskie nie jest klerykalne! — oto zbiorowy głos, którym szeroki ogół zaprotestował przeciw maskaradzie, jaka od wielu lat fałszowała jego myśl i wolę.

Stokrotną słuszność ma Adam Próchnik, gdy (p. „Dziennik Ludowy" nr. 184) pod wrażeniem lawiny protestów, jakie posypały się zewsząd na głowę krakowskiego biskupa, stwierdza, że w **Polsce są może głębokie uczucia religijne, ale nie ma sentymentu dla duchowieństwa.** Co więcej: te właśnie proste uczucia religijne, które w sercu Polaka żyją, stanowiąc nieprzebraną krynicę jego ofiarności, męstwa i bezinteresownego zapału dla rzeczy wielkich i szlachetnych, sprawiają, że jego stosunek do kleru jest przeważnie oziębły i sceptyczny. Nazbyt wiele widzi on

w szeregach kleru samozadowolenia i pychy, t. j. tych cech, które są zaprzeczeniem wszelkiej postawy religijnej: zbyt mało dostrzega w nich braterstwa i przymierza z niedolą i cierpieniem mas.

Weźmy milionową rzeszę bezrobotnych: jaką pociechę, jakie zrozumienie swej doli znaleźć ona może u kleru, który rezyduje na dobrych stanowiskach i opływa w dostatki? który jest jedyną kategorią społeczną, nie podlegającą klęsce bezrobocia, wolną od ciężarów rodziny, nie znającą troski o chleb, nie odczuwającą uderzeń kryzysu: jest bowiem opancerzony w swym budżecie dochodów, nietykalny w swej podstawie dobrobytu. Jeśli gdzie, to tutaj właśnie w stosunkach między klerem a światem pracy najemnej i ubogim chłopstwem ostrej nabiera wymowy przysłowie o nie dającej się wyrównać przepaści między sytym a głodnym. Kler rzymski paruje dostatkiem ludzi sytych. Świat pracy, w dzisiejszej dobie gospodarki, żyje stale pod groźbą widma, które każdej chwili może do drzwi jego zapukać: widma, któremu na imię — redukcja, bezdomność, utrata zarobku, nędza, głód. W jak wielkim u duchowieństwa jest poszanowaniu pieniądz, świadczy owo przygnębiające a niestety codzień wznawiane widowisko, jakim jest praktyka ślubów i pogrzebów kościelnych, owa klasyfikacja dusz chrześcijańskich wedle taryf skarbowych ;ów niedbały pośpiech, z jakim roni się parę słów modlitwy na trumnę biedaka; ów natomiast przepych organów, psalmów, świateł i kadzideł, z jakim odprowadza się na łono wieczności każdego wybrańca fortuny.

Nie brak, rzecz jasna, i wśród kleru rzymskiego jednostek, które, przezwyciężając swą bazę materialną, poczuwają się do solidarności ze społeczeństwem wydziedziczonych i ubogich, a przede wszystkim tych, którzy łakną prawdy i sprawiedliwości. Niemniej wszakże jest faktem, że kościół w osobie swej hierarchii kierowniczej idzie ramię w ramię z potęgami doczesnymi; tam zaś, gdzie jawnie ich nie wspiera, pozwala im osłaniać się swoją powagą i chorągwiami swych obietnic, ażeby w uległości utrzymać rzesze uciśnionych. Nie jest chyba przypadkiem, że wśród wszystkich posterunków prasy w Polsce najostentacyjniej swymi synowskimi wobec kościoła uczuciami popisują się rzecznicy wielkiej własności ziemskiej („Czas", „Słowo" i „Polityka") oraz kapitału przemysłowo finansowego („Kurier Polski" i „I.K.C."). Czyżby w tych właśnie sercach otłuszczonych rentą najwierniejszy miał przybytek ideał ewangelii?

Sojusz klerykalno-możnowładczy nie jest, zresztą, wyłącznym udziałem Polski. Czytajmy Jakóba Maritaina i Ernesta Buonaiuti, czytajmy Piotra Simona, wsłuchujmy się w chór głosów młodej, katolickiej, żądnej odrodzenia, Francji, a przekonamy się, że skargi, podnoszone przeciw polityce kościoła na Zachodzie, pokrewne są tym, które uzasadniałaby rzeczywistość polska. I tu i tam w sumieniu ludzi, deklarujących się, jako ostoje religii, dokonał się rozbrat między etyką osobistą a etyką społeczną. „Jesteśmy w rzeczy samej świadkami tego — pisze Simon *) — jak potęga ekonomiczna oraz wpływy społeczne przeszły do rąk klasy, która po pewnych wahaniach i wbrew pewnym wyjątkom okopała się jako twierdza katolicyzmu". W tym samym czasie — stwierdza tenże autor — gdy masy ludowe oddaliły się od religii, burżuazja w swej większości coraz wierniej skupiała się wokół kościoła, a właściwie wobec jego strony obrzędowej. „Ale wśród najwierniejszych lub nawet najgorliwszych dewotów jakże niewielu było takich, co pomyśleli o skonfrontowaniu wymagań swej wiary z warunkami swej działalności ekonomicznej, o zajęciu w sprawach gospodarczych postawy zgodnej z duchem, nie zaś obrzędem kościoła, słowem o uzgodnieniu swej książki od nabożeństwa z księgą swych dochodów".

*) Pierre-Henri Simon: „Les catholiques, la politique et l'argent". Paris 1936.

Cóż, że w większości wypadków sprzeniewierzano się swej religii nieświadomie, że pobożny, dajmy na to, bankier lub ziemianin, tak przykładnie modlący się w swoim klęczniku, przystawał na przesadny przyrost swej fortuny jedynie dzięki temu, że omieszkał rzucić okiem na godziwość swego zysku? To przeoczenie było już samo przez się ciężkim grzechem, bo ciężkim bywa zgorszeniem, gdy ręka, przebierająca różaniec, okazuje się równie skora, jak każda inna, do ryzykownych a niedozwolonych operacyj finansowych, lub wznosi się, aby poprzeć politykę przemocy.

A czym-że, jeśli nie popieraniem polityki przemocy i despotyzmu, jest pobratymstwo kleru rzymskiego z faszyzmem we Włoszech, z wojenną kwaterą gen. Franco w Hiszpanii, z obozem nacjonalizmu w Polsce? Jeżeli nie doszło do braterskiego rąk uściśnienia między klerem rzymskim a hitleryzmem w Trzeciej Rzeszy, to bynajmniej nie z winy kościoła, który, jak wiemy (patrz: „Epoka" nr. 9 *) r. 1936) szukał współdziałania z dyktaturą Hitlera i nawet przez usta swych biskupów zaofiarował jej pomoc w zwalczaniu „bezbożnictwa". Dopiero, gdy władze Trzeciej Rzeszy, w dążeniu do ostatecznego „ujednostajnienia" sumień i umysłów, wydały walkę duchowieństwu i „bezbożników" oraz popleczników „komuny" a także „przemytników waluty", „homoseksualistów" i „deprawatorów młodzieży" jęły tropić w związkach i organizacjach kościoła a zwłaszcza w murach klasztornych, stosunek kościoła do „narodowego socjalizmu" zmienił się jaskrawo. W domniemanym a zdradliwym partnerze dostrzeżono znamiona herezji i nawrót do pogaństwa, a kardynał Pacelli, wysłannik papieża, chcąc uwydatnić nieprzyjaźń Watykanu dla Berlina, pofatygował się do Francji, aby złożyć znamienną wizytę demokratycznym rządom Trzeciej Republiki.

Ponieważ jedna jaskółka, choćby w purpurę ubrana, nie czyni jeszcze wiosny, więc i wizyta papieskiego sekretarza stanu we Francji, rysująca zwrot kościoła ku demokracji, nie może być uważana za punkt przełomowy. Znamienna, jako zapowiedź, nie wystarcza jako decyzja. Zbyt głęboko, zbyt długo wrastał kościół katolicki w solidarność ze sferami przywileju, aby mógł jedną czy drugą demonstracją, jedną czy drugą encykliką, stargać więzy, które go przykuły do rydwanu możnych. W pamięci ludu roboczego, w pamięci demokracji całej Europy, nie wygasło jeszcze i nie prędko wygaśnie krwawe wspomnienie okrucieństwa z jakim kanclerz Dollfuss rozgromił ludową dzielnicę Wiednia. A czy ów kanclerz katolicki nie podawał sam siebie

*) „Biskupi niemieccy pod komendą Hitlera".

za miecz w ręku kościoła? I czyż za taki nie był uważany w Rzymie?

Ale łączność kleru z kongregacjami pieniądza, to — nieuchronny jego rozbrat z masami ludowymi, które przez owe kongregacje są wyzyskiwane i wyzuwane z praw. Im silniej przy tym występuje rola kościoła, jako strażnika konserwy społecznej i gwaranta dotychczasowego podziału dóbr materialnych, tym szerszy jest ów rozbrat który go dzieli od ludu.

Cóż przeto dziwnego, że rozbrat ów jest w Polsce szerszy, niż gdziekolwiekindziej? Za olbrzymie majątki, których kościół jest posiadaczem, za wielkopańskie dochody, które pobiera, za szczególne prerogatywy, które zawarował sobie w konkordacie, płaci on w Polsce i płacić musi najokropniejszą cenę, najdotkliwsze koszty, jakie obarczały kiedykolwiek wyznawców Chrystusa: **płaci odosobnieniem wśród szerokich rzesz społecznych; płaci izolacją moralną w łonie świata pracy.**

I przyznajmy otwarcie: tę swoją izolację moralną sam kler czuje i ocenia najlepiej. I ponieważ ją widzi, ponieważ ocenia ją, jako kolosalne niebezpieczeństwo dla swej supremacji, więc wszelkich używa środków, aby ją zasłonić, zamaskować, zakryć zewnętrznymi pozorami. Znamy te środki. Od pierwszych dni odrodzonego Państwa Polskiego, a już szczególniej od przewrotu majowego (1926) jesteśmy świadkami nieprzerwanego niemal korowodu uroczystości kościelnych, zjazdów episkopalnych, kongresów katolickich, organizowanych pielgrzymek do różnych miejsc świętych lub doraźnie uświęconych, celebrowanych koronacyj obrazów cudownych, a przede wszystkim obchodów jubileuszowych ku czci mężów i niewiast, zasłużonych dla kościoła. Tych niewiast i mężów, podejmowanych spod pyłu zapomnienia, a wywyższanych ku chwale całego narodu, okazało się tak wiele, że aż dziw zdejmuje, jak wśród takiego bogactwa zasług mogła dawna Rzeczypospolita stoczyć się w ruinę! Co w tych wszystkich uroczystościach kościelnych uderza, to **przewaga organizacji nad żywiołem samorzutności, formy nad treścią, dygnitarstwa nad uczuciem, pompy obrzędowej nad szeptem modlitwy.** Wysiłek, planowość, propaganda, inscenizacja i przepych ceremoniału: oto hasła, oto znamiona tych zbiorowych wystąpień kleru. Wysiłek i planowość aż nadto zrozumiała: im mniej oparcia znajduje kościół w masach ludowych, tym więcej szukać go musi w świeckim ramieniu Państwa, ażeby zaś to ramię świeckie zjednać i dla celów swoich pozyskać, musi mu imponować, musi wciąż przed nim defilować z rozwiniętymi chorągwiami. A skoro pod chorągwiami mało, zbyt mało jest ludzi naprawdę do kościoła przywiązanych, tedy zamiast wiernych trzeba werbować statystów, udających wiarę; trzeba organizować, inscenizować, celebrować! Zamiast dusz wierzących, trzeba gromadzić tych, którym na wierze maluczkich zależy, którzy w powołaniu kleru, naprzekór wszelkim posłannictwom religji, upatrują coś w rodzaju żandarmerii społecznej.

Tak powstało to niebywałe złudzenie, któremu na imię: klerykalizacja społeczeństwa w Polsce. Z ambicyj i uroszczeń kleru, który okazałymi gestami pozorował swą próżnię wewnętrzną i osamotnienie, wywnioskowali niektórzy o istotnych wpływach jego w społeczeństwie.

Ofiarą tej iluzji padły, niestety, również i rządy po-majowe. Udzielając protekcji duchowieństwu, wyobrażały one sobie, że same korzystają z jego poparcia, a nie chciały widzieć, że **wspierając episkopat, sprzymierzony z możnowładztwem, zamykają sobie właśnie drogę do ludu,** drogę do żywiołów pracy, stanowiących o istotnych czynnikach i źródłach potęgi Państwa.

I trzeba było nierozważnej a wyzywającej postawy jednego z biskupów, ażeby całe rusztowanie tego pobożnego złudzenia zawaliło się w gruzy. Biskup, a przy tym rodowy magnat-sobiepan, chciał jeszcze jednym okazałym gestem zaprezentować potęgę kościoła w Polsce, zapomniawszy, że potęga ta wisi na ramieniu świeckim, które on niebacznie sprowokował. Ramię, będące tarczą ochronną episkopatu, usunęło się na chwilę i — oto — biskup, pozostawszy sam na sam ze społeczeństwem, ujrzał nagle, że jest samotny i odosobniony jak pyszny kaktus na pustyni.

Broni go wprawdzie Mackiewicz w Wilnie i dr. Zweig-Rubel w Krakowie, ale obrona ta nie przynosi chwały kościołowi: bo to nie ubodzy braciszkowie, nie dusze ewangeliczne wnoszą obronę, ale upasieni adwokaci zaniepokojonych o swe dobra obszarników i przemysłowców, nadużywających opieki kościoła, ze szkodą dla Państwa.

Jeszcze mniej obrona taka cieszy szerokie rzesze prawdziwych chrześcijan, którzy, doceniając doświadczenia Francji i widząc jak dodatnio zarówno na państwo jak na kościół tamtejszy oddziałało oddzielenie kościoła od państwa i jego budżetu, pragną tej samej wielkiej reformy dla Polski. Wiedzą bowiem, że **chrześcijaństwo w swej treści społecznej jednoczy się z demokracją, a szczera demokracja, jak i szczere chrześcijaństwo nie da się pogodzić z hierarchią społeczną, która tytuł duszy ludzkiej stawia poniżej hypotecznego tytułu własności.**

W. Rzymowski

Dziwy życia gospodarczego

Polska XVIII wieku upadła niewątpliwie wskutek swego ekonomicznego rozprzężenia i bankructwa metod gospodarczych, naonczas przez wszechwładną warstwę szlachecką windowanych do wysokiej rangi interesu państwowego. Przyziemny interes złączonych w jedną szajkę kreatur, zaprzepaścił niepodległość państwa, byt narodu, wywrócił mocarstwowy rozpęd dziejów Rzeczypospolitej. Ale tradycje Targowicy nie zginęły wraz ze zrealizowaniem jej zgubnych haseł. Targowica polskiej sprawy politycznej i ekonomicznej szalała na terytorium trzech zaborów przez długi okres niewoli. Nie tylko sprzedawała koncesje za marny grosz na eksploatowanie polskich kopalń węgla, nafty, nie tylko spychała polskiego robotnika i wieśniaka do rzędu pariasów, ale fałszowała obraz polskiej rzeczywistości. Oszukiwała otumanionych mieszczuchów i wiecznie przelęknione warstwy pracujące, strasząc społeczeństwo lożami masońskimi i lucyperem tajemniczego żydowskiego synhedrionu. A tymczasem wciąż przy szulerskim stole przegrywano Polskę. I oto wbrew

rycerzom czarnych giełd i karteli z pod sztandaru Lewiatana, wbrew wszystkim wyrachowaniom partnerów od politycznego i gospodarczego bakarata, wskrzeszona została Niepodległa Rzeczpospolita.

Rozpoczęto na gwałt szukać asekuracji dla niesławnych wspomnień niedawnej przeszłości. Rozpoczęto na gwałt w sferach, trudniących się do niedawna przehandlowywaniem wszystkiego co polskie, podrabiać legitymacje, uprawniające do żerowania w nowopowstałych stosunkach. Lecz poco daleko szukać! Niedawno, bo z datą 1937 r. jedna z firm naftowych wydała wspaniale oprawny album, w którym między wykazami efektów i depozytów, figuruje fotograficzna odbitka „legitymacji", uprawniającej, zdaje się, do większej kwoty kartelowej w obecnym układzie sił gospodarczych kraju. Jest to odbitka fotograficzna pokwitowania z odbioru pewnej kwoty pieniężnej przez Komendę Legionów polskich w maju 1916 r. Pod kwitem figuruje podpis Józefa Piłsudskiego. Ten ktoś, co zdobył się wówczas na wielki uczynek ofiarowania kilku groszy na rzecz krwawiących szeregów wojska narodowego, nie wstydzi się dziś zasługi swojej dołączać do bilansu przedsiębiorstwa, na którego czele stoi. Nie wstydzi się po latach przeszło 20 dyskontować i to na lichwiarskich warunkach, swego marnego wkładu do wielkiej skarbnicy czynu narodowego. Ba, nie wstydzi się w rozdziale (załączniki do bilansu przedsiębiorstwa) wprost reklamować się: „Gdy wybiła godzina walki... wszyscy moi współpracownicy pospieszyli do Legionów, ja zaś... zostałem... by po skończonej wojnie mieli do czego wrócić". A właściwie nie o to chodzi, że któryś tam z wielkich mężów kongregacji finansowej nie poszedł do Legionów, ale o to, że fakt niepójścia do szeregów, potrafi dziś podnosić do rzędu wielkich zasług... ekonomicznych. I potrafi te zasługi przez 21 lat z rzędu co dzień na nowo sprzedawać. Oto wielka zdolność gospodarcza prowodyrów naszego życia ekonomicznego!

Ale co się dziwić przeciętnym i pomniejszym członkom „konfederacji lewiatańskiej". Przeglądnijmy rejestry handlowe, przeczytajmy spisy członków rad nadzorczych w spółkach akcyjnych, szczególnie tych najbardziej skompromitowanych, a staniemy oko w oko z gwardią byłych ministrów, byłych dyrektorów departamentu, byłych wodzów polityki reakcyjnej czy t. zw. umiarkowanej. Czy jest jeszcze jaki kraj na świecie, gdzie możnaby tak tanim kosztem wynająć do takiej roboty byłego męża stanu? Czy jest jeszcze jedno gospodarstwo narodowe, gdzieby wciąż te same figury plątały się po wszystkich branżach i przedsiębiorstwach wymagających protekcji, gdzieby wiecznie te same osoby występowały, wszędzie te same t. zw. wielkości? Czy jest jeszcze jaki kraj, w którym handlarze świń czy bekonów obejmowaliby władztwo nad przemysłem kluczowym dla obrony państwa, nad hutnictwem żelaznym? Czy jest do pomyślenia w gospodarstwie nieopanowanym przez cuda, aby zarządy hut państwowych spoczywały w rękach ludzi, którzy dopiero z chwilą objęcia czołowych stanowisk, widzą hutę po raz pierwszy w życiu? I czy jest, biorąc na zdrowy rozum, do pomyślenia, aby najbardziej eksploatatorskie kartele surowcowe dobierały sobie dyrektorów naczelnych z pośród urzędujących kierowników kontrolującego ich departamentu? I jakże bez zgrozy można myśleć, że usunięty na wyraźne żądanie władz urzędnik ministerialny, obejmuje natychmiast po niesławnym zwolnieniu go, naczelne stanowisko w dotychczas podlegającym mu przemyśle. W uściskach Lewiatana ginie gospodarstwo polskie. Ginie jednak pośród wspaniale rozstawionych dekoracyj rzekomych zasług, na których tle stoją pokracznie rozta sowani „geniusze" naszej polityki przemysłowej.

W procesie jednego z niedawno rozwiązanych karteli jako świadkowie dowodowi przeciwko urzędującemu ministrowi przemysłu i handlu zostali zgłoszeni przez kartel: urzędujący kierownik departamentu i urzędujący naczelnik wydziału. Wpływy Lewiatana są dalekosiężne. O wiele dalej niżby się to filozofom przyśnić mogło. Bo na przykład. Niezwłocznie po odmówieniu przez Lewiatana dostaw surówki żelaznej, ogłoszona została podwyżka cen żelaza. Przez kilka miesięcy toczyły się dyskusje w tajnych komisjach i jawne boje polemiczne w prasie. Ekonomiści wszystkich odcieni przekonywali, argumentowali i poprostu błagali: nie psujcie koniunktury polskiej, znajdującej się ledwie w zalążkach, nie wykolejajcie cyklu koniunkturalnego, który zaledwie rozpoczął swój bieg ku górze. Nie pomogło. Konsekwentna w swych planach, nieustępliwa w swych postanowieniach wyrocznia lewiatańska postawiła na swoim. Wbrew opinii, wbrew woli rządu, wbrew interesowi społeczno-gospodarczemu, wreszcie wbrew oczywistym zapowiedziom i zobowiązaniom odpowiedzialnych za politykę państwową mężów stanu — Lewiatan przeforsował zwyżkę cen.

Komunikat, który zawiadamiał biedne gospodarstwo polskie, o nowym zwycięstwie Lewiatana, zawierał także jakąś zapowiedź pozwalającą przypuszczać, że nastąpią pewne, dość mgławicowe, zmiany w formach rządzenia najważniejszym przemysłem dla obrony państwa, jakim jest hutnictwo żelazne. Aby nie było złudzeń, aby nie żądano od Lewiatana, tego czego on dać nie chce i nie da, przyniósł oficjalny organ departamentu hutniczego w swym ostatnim numerze artykuł, zapowiadający, że: „reorganizacja przemysłu hutniczego... musi być rozplanowana na dłuższy okres czasu". Zapewne nawet i wieki nie odgrywają tu roli. Zapewne, dobrze zgrany zespół postanowił rzucić na pożarcie głupcom takie czy owakie przyrzeczenie, taką czy owaką uchwałę, być może w najwyższych sferach urzędowych z najwyższą dozą wiary podjętą i proklamowaną. Ale, zapamiętajmy to sobie — niewykonalną.

Zwyżki cen żelaza nie należy traktować jako wyjątek. Jest to zapowiedź załamania programu ekonomicznego, o który w Polsce walczono przez długie ciężkie lata, t. j. od chwili wielkiej katastrofy kryzysowej, katastrofy, która była przede wszystkim następstwem nie mniej wielkiej, a bezpośrednio poprzedzającej kryzys polski, drożyzny. Polska, kraj najdroższego surowca przemysłowego w świecie, rozpoczyna obecnie nową podróż w nieznane, ku nowym nieogarniętym falom drożyzny, na której ponownie — jak z reguły — chce wywindować ku górze swą banderę statek lewiatański.

Niedawno temu pisali młodzi urzędnicy ministerstwa przemysłu i handlu wydający tygodnik „Polityka" o pewnych dygnitarzach, których nazwali „urzędnikami-politykami" i o których dobrze wiedzieli gdzie i przy jakich biurkach są porozmieszcza-

ni, że należy tych dygnitarzy-urzędników „rzucić twarzą do błota". I nie wywołali żadnej reakcji, żadnego echa. W międzyczasie jedynie zdołano zakorkować plan skrócenia czasu pracy w górnictwie, zdołano z kompetentnej strony zapewnić reprezentantów kartelu węglowego, że im absolutnie z tej strony nic nie grozi, zdołano podwyższyć ceny żelaza, zdołano wzmocnić — o ile to jest tylko do pomyślenia — pozycję czołowych członków grupy zasłużonych dla tajnego rządu lewiatańskiego — i zdołano, po raz niezliczony z rzędu, zaśmiać się szyderczo w twarz całej, biernie przypatrującej się niedoli gospodarstwa polskiego, polskiej opinii społecznej. Czy trzeba mówić o tragiźmie polskiej ekonomiki? Czy wołać — wciąż bezskutecznie — o potrzebie „rzucenia twarzą do błota" tych, którzy są najbardziej za ten stan rzeczy odpowiedzialni? Czy też poprostu opuścić ręce i zawołać w takt zwycięskiego echa: wiwat nasze „sfery gospodarcze"!

An. Dem.

Prawdziwy głos społeczeństwa

Bardzo niedawno w angielskiej izbie gmin rozegrała się pouczająca scena.

Premier Neville Chamberlain wygłaszał dłuższe exposé na temat ogólnej sytuacji międzynarodowej. Oczywiście głównym tematem przy rozstrząsaniu tego zagadnienia była sprawa hiszpańska i nieszczęsna „nieinterwencja".

Usiłując uzasadnić takie właśnie stanowisko polityki brytyjskiej Neville Chamberlain m. i. powiedział:

— Dopóki trwa wojna domowa, jest niemal nieuniknione, iż dochodzi do zajść, które dotyczą mocarstw obcych. Zobowiązanie mocarstw do zatamowania dowozu broni do Hiszpanii jest już samo przez się właściwie wtrącaniem się do walki, gdyż czyni ono niemożliwym odnawianie zapasów amunicji przez strony walczące...

Z ław Labour-party padł w tym miejscu okrzyk: „Ależ to jest przecież głupstwo i szaleństwo".

Speaker Izby, zwracając się do ław opozycyjnej Labour Party zareagował na ten okrzyk tymi słowami: „Pan premier wygłasza bardzo doniosłą mowę, proszę przeto panów posłów, aby wstrzymywali się od okrzyków z miejsc".

Premier Chamberlain: „Nic nie mam przeciwko okrzykom z miejsc".

Czy można wymyślić epizod lepiej charakteryzujący tolerancję, poszanowanie odmiennego zdania i wartości opozycji.

Rozległy się w murach starodawnego parlamentu pod adresem szefa rządu wyrazy, które tam padają niezmiernie rzadko: głupstwo i szaleństwo. Przewodniczący nie wziął w opiekę premiera przez jakieś zarządzenia dyscyplinarne, do których jest uprawniony bardzo szeroko, prosił jedynie o spokój. Zaś sam premier wyrzekł się nawet tego, oświadczając, że niema nic przeciw „zwischenrufom".

W tym incydencie odbiła się cała mądrość i siła ustroju angielskiego, w którym opozycja ma tą samą wartość, co rząd, a opinia niezgodna ze zdaniem władz piastujących jest równouprawniona i chroniona przez prawo.

Kraj, w którym może rozegrać się taki epizod nie potrzebuje żadnej propagandy na rzecz „zjednoczenia narodowego", „mocarstwowości" i t. p. frazesów bez wartości, gdyż jego siła fizyczna jest nierozdzielna od siły moralnej.

Poszanowanie dla opozycji, liczenie się z jej słowem i stanowiskiem, uwzględnianie w najszerszym rozumieniu nastrojów masy obywateli — stanowi o tej sile.

Również niedawno przykład takiego stosunku do zasadniczego zagadnienia w rządzeniu państwem mieliśmy w parlamencie węgierskim. Z przesianych przez różne sita informacji naszych agencji telegraficznych dowiedział się czytelnik polski, że obie izby węgierskie uchwaliły projekt ustawy o regencji i o pełnomocnictwach regenta Węgier. Czyniono na ten temat różne pouczające uwagi o prawach czynnika nadrzędnego, stawiano za przykład ustawę budapeszteńską. Ale nigdzie nie zwrócono uwagi na to, że przy uchwalaniu ustawy odbyła się znowu pouczająca demonstracja uznania i szacunku dla opozycji, która teraz jeszcze jest w Sejmie węgierskim, obranym na zasadzie wypaczonej ordynacji wyborczej, w znikomej mniejszości. Opozycja nie głosowawa przeciw ustawie: socjaliści jako republikanie z zasady byli na posiedzeniu nieobecni, liberalowie i partia drobnych rolników głosowali za ustawą. Dyskusji nie było. Premier węgierski Daranyi przemawiając po głosowaniu, uważał za swój obowiązek złożyć całej opozycji podziękowanie, podkreślając, że kieruje się ona w swoim postępowaniu interesem całego społeczeństwa. Wyniku głosowania — mówił szef rządu węgierskiego — nie uważam za sukces rządu...

Ale nie na tym koniec. W tymże przemówieniu premier węgierski oświadczył: Teraz, kiedy sprawa uprawnień i wyboru regenta została ustawowo uregulowana, oświadczam, że na porządek dzienny wchodzą sprawy reformy izby panów (na Węgrzech składa się ona z wirylistów i nominatów) i przywrócenia tajnego głosowania. Jeszcze w ciągu bieżącego roku kalendarzowego obie te reformy rząd przedłoży Izbom".

Nie wiadomo, czy to zobowiązanie uroczyście złożone przez likwidatora dyktatury na Węgrzech, będzie dotrzymane, nie wiadomo, czy żywioły reakcji magnackiej na Węgrzech nie wykrzywią i nie zniszczą szlachetnych zamierzeń p. Daranyi'ego, ale fakt pozostaje faktem, iż rząd zobowiązał się do usłuchania żądań opozycji demokratycznej dla przywrócenia na Węgrzech legalizmu i parlamentaryzmu. Opinia opozycji została uszanowana i ma być w krótkim czasie uwzględniona, bo inaczej — powtórzmy okrzyk z angielskiej izby gmin: było by to... głupstwo i szaleństwo.

O tym wydarzeniu politycznym na Węgrzech tak samo niewiele wiadomo w Polsce, jak o tym, co

dzieje się w... serdecznie zaprzyjaźnionej z Rzeczą-pospolitą Rumunii. Czytając urzędowe i półurzędowe relacje z życia społecznego i politycznego Rumunii, można by dojść do wniosku, że w tym kraju chłopskim w najbliższym czasie obejmą ster rządów żywioły skrajnie nacjonalistyczne, wzorujące swoją ideologię na hitleryźmie i w tym kierunku orientujące swoją politykę międzynarodową. A tymczasem nie wiadomo w Polsce o tym, że w Rumunii odbyły się w czerwcu wybory komunalne, dające obraz zmagań, które kraj ten przechodzi. Mamy przed sobą liczby niekompletne coprawda, ale dostatecznie wymowne z 19 okręgów wyborczych. Nastąpił tam taki podział głosów: znajdująca się u władzy partia liberałów zebrała 222.800 głosów, opozycyjna partia demokracji tsaraniści—partia narodowo-chłopska — 210.978 głosów, grupy skrajnie nacjonalistyczne Goga-Cuza — 141.795 głosów, prawicowy odłam partii chłopskiej grupa Vaida-Voievad — 71.875 głosów, prawicowy odłam liberałów Jerzego Bratianu — 47.788 głosów.

Jeżeli uwzględnimy, że chwiejna grupa Vaida-Voievada z mniejszą lub większą łatwością porozumie się z zasadniczym trzonem partii narodowo-chłopskiej, jasno widzimy, w jakim kierunku zmierza ewolucja polityczna w Rumunii. To, co oczkuje do hitleryzmu, to, co urządza różnego rodzaju ekscesy na tle rasowym i popiera totalizm stanowi w podanych wyżej liczbach mniejszość (Goga — Cuza — Jerzy Bratianu), rządzące centrum, chwiejące się ostatnio ku prawicy traci głosy i poparcie. Różne „Currentule", „Neamul Romanesci" obficie cytowane przez nasze półurzędówki, a serdeczną opieką Berlina otoczone, tracą na wadze i wartości. W takim duchu przemawia opozycja rumuńska, w takim kierunku zmierza opinia społeczna rumuńska. Nic też dziwnego, że w Paryżu i Londynie przysłuchują się głosowi dobrowolnego banity Mikołaja Titulescu, który ten prąd opinii wyczuwa i, jak wiadomo, na jesieni wraca do czynnej polityki na razie jako członek senatu rumuńskiego. W przemówieniu wygłoszonym w dn. 27 czerwca w Bordeaux ten rumuński mąż stanu, który jeszcze nie skończył swojej roli w Rumunii, powiedział m. i. mówiąc o depresji moralnej, panującej w różnych krajach, co następuje:

— Depresja ta — mówił — ma dwa źródła: bierność w obliczu walk ideologicznych, toczących się niemal wszędzie, podważenie zaufania do Ligi Narodów. Przeciw temu stanowi rzeczy istnieje tylko skuteczne lekarstwo: przestańmy uginać się wobec t. zw. wymagań życia, musimy walczyć o jedność Europy w imię demokracji, którą realizuje ogromna większość państw na świecie. Nie dajmy się sugestionować przez państwa totalne".

Oto właściwe ujęcie zagadnienia. Gdy ono przychodzi, opozycja, opinia — dochodzą do głosu i maska rzekomych nastrojów masy spada. Przekonała się o tym raz jeszcze prawica francuska, gdy zamiast gabinetu Blum — Daladier stanął przed Izbami rząd Chautemps — Blum. Koło historii pomimo wielkich wysiłków t. zw. „bloku narodowego" we Francji nie zawróciło wstecz.

St. Grostern

Z dnia na dzień

FARBOWANE LISY

Wzruszające jest uczucie solidarności i niepokalana jednomyślność „Małego Dziennika" i „Prosto z mostu" w chwili, kiedy „konflikt Wawelski zachmurzył złowrogo horyzont polityczny w Polsce". Działa tu widocznie telepatia, wzajemne z odległości oddziaływanie na siebie kamratów, skoro obydwaj jednocześnie krzyczą, że niepotrzebnie „ulica" mieszała się do zatargu, wywołanego przez infułata krakowskiego i skoro obydwaj zaklinają, żeby społeczeństwo usunęło się na bok, pozostawiając rozstrzygnięcie całej sprawy wysokim autorytetom.

„Prosto z Mostu" z powagą maga wprost orzeka, że „postulatem naczelnym jaki przynosi chwila bieżąca jest, aby sprawą tą przestały się zajmować wiece, masówki i zebrania organizacji, aby wyeliminowano czynnik nieobliczalności i aby rozstrzygnięcie nastąpiło w gronie osób czujących odpowiedzialność za losy narodu i państwa".

Jakaż to za serce chwytająca melodia legalizmu! Jakaż poezja ładu i porządku, prawa i hierarchii władzy! Skąd to — zapyta zdumiony czytelnik — rozlega się ten cudowny hymn na cześć rozumu i prawa moralnego? Niewątpliwie każdy czytelnik odetchnie z ulgą, kiedy się dowie, że głos ten płynie z tygodnika, który był trybuną Doboszyńskiego, pchał młodzież do ulicznych wystąpień, „rozumiał" krwawe rozprawy pospólstwa na ulicach Brześcia i Częstochowy! I który wówczas nie wzywał do eliminacji „czynnika nieobliczalności!"

Są istoty, które o legaliźmie przypominają sobie dopiero wtenczas, gdy im nadeptać na ogon.

„RĘKĘ KARAJ, NIE ŚLEPY MIECZ!"

„Zaczyn" zbliżony do O. Z. N. karci w bardzo ostrych słowach krakowską ławę przysięgłych i piętnuje sędziów Doboszyńskiego jako szkodników, którzy „sabotują interes państwa". Stwierdza też dalej, że sprawa o zajazd na Myślenice „odsłania z całą zastraszającą szczerością bezdeń apaństwowego, a nawet wręcz antypaństwowego stanowiska ogółu, ujawniła, że pod werbalnymi deklaracjami, uwielbieniem armii na defiladach i papierowym patriotyzmem kryje się w Polsce atmosfera przerażającego cynicznego rozbrojenia psychicznego i nierozumu politycznego".

Cóż! Sąd słuszny, ani słowa! Ale zapytać trzeba, dlaczego tak stanowcze potępienie warcholstwa następuje tak późno?

Gdyby „Zaczyn" i jego domniemani mocodawcy, którzy dziś plotą wieniec z piorunów nad głowami 12 sędziów krakowskich, docierali do istotnych źródeł zła społecznego i wcześniej próbowali wcielać sprawiedliwy i rozumny nakaz: „Rękę karaj, nie ślepy miecz", nie byłoby ani Myślenic ani apologii zbrodni. Przecież zarówno sam występny czyn Doboszyńskiego, jak osłupiający wyrok, który mu przyniósł uniewinnienie, to — tylko ułamkowy przejaw taktyki owych gorszących pokłonów, jakie pewna część b. sanacji, zdradzając pamięć Piłsudskiego, wybija na podwórku endeckim.

ZASŁUŻONA REHABILITACJA IMIENIA

Sąd honorowy, złożony z senatorów oraz prezesa Akademii Umiejętności orzekł, że zarzuty, postawione przed paru laty Aleksandrowi Lednickiemu były bezpodstawne i że Lednicki nic nie uczynił takiego, coby w najmniejszym stopniu naruszało jego cześć obywatelską. Orzeczenie tego pośmiertnego sądu honorowego usuwa raz na zawsze możność szarpania pamięci tego wybitnego i szla-

chetnego człowieka, zapędzonego do grobu przez ślepą zaciekłość lub nikczemność jego nieprzyjaciół.

Jakże żałośnie wobec sprawności tego sądu wygląda opieszałość i zdumiewająca obojętność ogółu w innej, podobnej sprawie. W sprawie Stanisława Brzozowskiego, pokutującej od lat trzydziestu. Obojętność tym więcej zdumiewająca, że posądzenie o haniebną służbę wiąże się wciąż z imieniem tego znakomitego pisarza, a jednocześnie wychodzi pomnikowe wydanie jego dzieł.

HITLEROFIL W PUŁAPCE

W carosławnym i filohitlerowskim „Słowie" wileńskim p. Cat-Mackiewicz upaja się serdecznością, jaką III Rzesza żywi dla narodu polskiego. Z artykułu p. t. „Sympatie do Polski w Niemczech" („Słowo" Nr. 187) dowiadujemy się, że ten „zdyscyplinowany" naród usłuchał **rozkazu** Hitlera, nakazującego mu sympatię do Polski. Jeździłem dużo po różnych niemieckich dziurach i wszędzie słyszałem tylko słowa uznania dla Polski, tylko formułę: „Polska to wielkie mocarstwo". To samo opowiadają wszyscy Polacy w Niemczech zamieszkali". Jakże to wszystko jest wzruszające: i ta sympatia na „rozkaz", i ta jazda po dziurach, gdzie nas biorą w ramiona.

„A może to kurtuazja?" pyta filuternie p. Cat-Mackiewicz, chcąc usunąć najsłabszy cień wątpliwości ze strony czytelnika, oszołomionego powodzią serdeczności. „Otóż nie". I co autora ma utwierdzać w tym stanowczym przeczeniu? Utwierdza go autorytatywne zdanie pewnej kobiety: „spotkałem w podróży rosyjską żydówkę, która zna Niemcy oddawna i z pewnym sarkazmem opowiadała o szale polonofilizmu, który ten naród ogarnął". Cóż tu wiele gadać: p. Cat-Mackiweicz żąda od nas wzajemności uczuć, bo przecież „Niemcy szczerze szukają zgody i zbliżenia do narodu polskiego".

Któżby się spodziewał, że na tę forsowną apologię znajdzie się bezzwłoczne skuteczna przeciwtrucizna, sporządzona ręką powołaną i wprawną, która zazwyczaj wspomaga „Słowo" w rozsiewaniu trującego nasienia. Nie można nazwać inaczej, niż wyrafinowanym okrucieństwem wystąpienie poniższe, które w sposób brutalny, nie licząc się z czarem idylicznych nastrojów przerywa słowiczą pieśń miłosną p. Cat-Mackiewicza. Piołunowy posmak prawdy jest tym przykrzejszy, że wypowiada ją kamrat i pobratymca: „Goniec" warszawski. Jednocześnie z epistołą miłosną p. Cat-Mackiewicza p. t. „Sympatie do Polski w Niemczech", warszawski „Goniec" drukuje artykuł pod wymowniejszym nieco tytułem: „Fala nienawiści przeciw Polsce wzbiera w Niemczech od r. 1936".

Jak wyglądają „słowa uznania dla Polski" i „szał polonistyczny, który ogarnął naród niemiecki", świadczą poniższe informacje „Gońca":

„Od przeszło roku trwa wzrastający systematycznie napór antypolskiej ofenzywy, prowadzonej przez propagandę niemiecką. Ujawnia się to w wydawnictwach naukowych i w najróżnorodniejszych ulotkach propagandowych, które niedwuznacznie lansują hasła rewizjonistyczne. W latach 1936—37 wyszły już dziesiątki tomów tego rodzaju publikacyj. Oto niejaki Franciszek Kriebel z Frankfurtu nad Odrą wydał książkę, w której zestawił nazwiska Niemców, poległych w obronie Kresów Wschodnich w czasie od 1918—1920 r. Następnie zamieszczono w tej książce fotografię pomnika w Pile z napisem: „Niemcze, nie zapomnij o tym nigdy, co ślepa zawiść ci zrabowała, czekaj godziny pomsty". Pod tym napisem, wymieniono miasta: Gdańsk, Grudziądz, Chełmno, Toruń, Tczew, Starogard, Poznań, Bydgoszcz, Gniezno, Chodzież, Rawicz, Inowrocław, Leszno. Zauważyć należy, że jeżeli wymienieni w książce, polegli Niemcy uznani zostali za bohaterów, którzy zginęli w obronie ziemi ojczystej, to powstańcy polscy są w pojęciu autora chyba zdrajcami ojczyzny".

Te wyrazy „sympatii" „Goniec" opatruje własnym komentarzem:

„Co na tę akcję propagandy niemieckiej tak sprzecznej z duchem umowy polsko-niemieckiej z roku 1934 odpowiedzą władze polskie? Jakie stanowisko w tej sprawie zajmie Towarzystwo Polsko-Niemieckie z siedzibą w Warszawie? Społeczeństwo wypowiedziało już swoje zdanie o bezustannych prowokacjach niemieckich, czas już najwyższy, by właściwe czynniki zabrały głos w tej sprawie".

Słuszna ta interpelacja byłaby jednak nierównie słuszniejsza, gdyby przygważdżała nie tylko propagandę antypolską w Niemczech, ale również i przede wszystkim czarną zakałę filohitlerowskiej roboty w Polsce. Pomimo intencji uczynił to „Goniec" zastawiwszy pułapki na krety i lisy.

JUDASZOWE APOSTOLSTWO

Francuski publicysta Jacques Maupe ogłosił dane za rok 1934, zaczerpnięte z oficjalnego budżetu ministerstwa propagandy III Rzeszy. Rzecz szczególna, że po ogłoszeniu ich przez prasę francuską, resort Dra Goebbelsa zaniechał w następnych latach publikowania cyfr, dających bądź co bądź wyobrażenie o istocie i rozmiarach hitlerowskiej propagandy. W ujawnionym budżecie z roku 1934 wiele pozycji zostało zamaskowanych, oficjalnie bowiem budżet ministerstwa propagandy wynosił 28 milionów marek, faktycznie zaś uruchomiono w tym czasie na ten cel 259 milionów marek. Naogół bardzo ciekawy jest podział tych zawrotnych sum, ale Polskę i inne kraje ościenne obchodzić muszą szczególnie dwie pozycje: jedna to fundusz specjalny na opłacanie artykułów prohitlerowskich w prasie zagranicznej, wynoszący 25 milionów marek; druga zaś to fundusz na organizowanie hitleryzmu zagranicą, wynoszący 50 milionów marek.

Posiłkując się niemieckimi urzędowymi dokumentami, Jacques Maupe stwierdza, że resort p. Goebbelsa rozszerza sieć swoich wpływów i posiada już na swoje usługi 307 wielkich i mniejszych czasopism, wychodzących poza granicami III Rzeszy i pozostających na żołdzie ministerstwa propagandy.

Dane te są same przez się już bardzo wymowne, odsłaniają bowiem w części owe zamaskowane źródła „dynamicznej" siły hitleryzmu i zdolności „ideowego" przenikania do życia innych narodów. Ale rzeczą o ileż bardziej doniosłą i pożądaną byłoby ogłoszenie dokładnego spisu czasopism, które zdradziecko podminowują glebę swych krajów macierzystych i za judaszowe srebrniki w kapturach na głowie służą obcemu dziełu.

TEMAT GODNY STUDNICKIEGO

Pan Władysław Studnicki nieustraszony — a trzeba przyznać bezinteresowny zagończyk pióra — uderzył wstępnym bojem na tymczasowego prezydenta m. Warszawy Stefana Starzyńskiego. Zarzuty, zawarte w jego oskarżycielskiej książce, są tak złośliwe, a uznane zostały za tak ważkie, że staną się przedmiotem rozprawy sądowej, która, miejmy nadzieję, obu stronom wymierzy sprawiedliwość.

Wojowniczy autor zapewne mieć będzie zatem nieco czasu wolnego do dalszych prac w tym samym nieprzejednanym kierunku. Wszystkich, rzecz prosta, ciekawi, kto stanie się następnym obiektem jego bojowego temperamentu. My ze swej strony, znając wszystkie właściwości i zalety tego pióra, chcielibyśmy podsunąć mu temat naprawdę godny uwagi. Mamy na myśli jego komilitona, redaktora „Słowa" wileńskiego, Stanisława Mackiewicza. Tu, w stosunku do tej malowniczej osobistości naprawdę warto byłoby rozwinąć i dociekliwość i animusz. Wszak kariera redaktora wileńskiego także rosła jak na drożdżach. Wykazanie źródeł, z których drożdże owe pochodzą, stanowiłoby jeden z najciekawszych przyczynków do blasków i nędz prasy polskiej.

Socjalizm włoski a walka o wolność

Idee, które Czytelnik znajdzie poniżej, są nietylko wytworem pracy myśliciela, ale i aktem bohaterskiej odwagi żołnierza czynu. Książka („Il socjalismo liberale") z której podajemy rozdział końcowy i syntetyczny, napisana była przez autora w największej tajemnicy na kilka miesięcy przed jego ucieczką z wyspy Liparyjskiej, gdzie był zesłany przez faszyzm włoski. Niesłychanych podstępów trzeba było używać, aby rękopis ocalić od ustawicznych rewizyj. Przez długi czas dawał schronienie jego kartkom stary fortepian. Pisząc książkę, Rosselli jednocześnie gorączkowo pracował nad obmyśleniem sposobów ucieczki. Jeden pomysł szalony ścigał się w jego głowie z drugim jeszcze szaleńczym. W końcu się udało. Zesłaniec, zmyliwszy straże, wyratował się dzięki odsieczy przyjaciół, którzy, z narażeniem życia, w maleńkiej łodzi motorowej przybili niepostrzeżenie do brzegów wysepki, zabrali go i uwieźli pod osłoną nocy, aby wylądować na wolnej ziemi francuskiej. Tam też, nakładem jednej z księgarń paryskich (Librairie Valois) wydana została praca Rosellego, w tak dramatycznych poczęta warunkach. Książka ocalała. Człowiek natomiast nie długo cieszyć się miał odzyskaną wolnością. Poległ on wespół z bratem swoim, pod ciosami morderców, których ręką kierował... kto? Zgadnąć nie trudno. Dosięgła go tą sama zbójecka dłoń tyranii, która powaliła Jakóba Matteottiego i setki jego towarzyszów.

EPOKA.

Sprawa włoska jest, w istocie swej, sprawą wolności, to znaczy: jest zagadnieniem wolności ducha; zagadnieniem wyzwolenia świadomości w dziedzinie indywidualnej oraz zorganizowania wolności w dziedzinie społecznej, a więc w budowie państwa i w stosunkach między grupami i klasami.

Bez ludzi wolnych nie może istnieć państwo wolne. Bez świadomości wyzwolonej nie mogą istnieć wyzwolone klasy.

Nie jest to koło błędne. Wolność zaczyna się od wychowania człowieka i urzeczywistnia się poprzez tryumf państwa obywateli wolnych i równych w obliczu praw i obowiązków; państwa, w którym wolność każdego obywatela jest warunkiem i granicą wolności wszystkich.

Należy powiedzieć to wyraźnie, gdyż jest to smutną prawdą, że we Włoszech wychowanie człowieka, ukształcenie jednostki, tej podstawowej komórki moralnej, jest w znacznej części zadaniem, które dopiero czeka na wykonanie. Nędza materialna ludu, obojętność, wyrzeczenia wiekowe, sprawiły, że większość społeczeństwa włoskiego cierpi na brak owego żarliwego, ambitnego zmysłu, jakim jest zmysł samodzielności i odpowiedzialności za swe czyny. Jarzmo zaborów, które nad Włochami ciążyło przez stulecia, wytworzyło stan ducha, w którym przeciętny mieszkaniec tego kraju waha się między rezygnacją niewolnika a rewoltą anarchisty. Obce mu jest pojmowanie życia, jako walki lub posłannictwa; obce mu jest pojęcie wolności, jako powinności moralnej; obce mu jest, wreszcie, poczucie granicy, oddzielającej jego prawo od prawa innych.

Włosi częściej żywią ambicję na punkcie swych wartości i stosunków zewnętrznych, niż na punkcie swej osobistości. Ich życie wewnętrzne, jakkolwiek bardzo bogate, jest przecież jednostronne; jest ono bogate zwłaszcza w dziedzinie uczuciowej, gdzie przybiera formy instynktowne i pobudliwe. Spokojna zaduma nad rozległymi zagadnieniami bytu, owa płodna męka duchowa, z której powoli rodzi się cały świat wewnętrzny, a więc to, co jedynie dać może samowiedzę człowiekowi, jako jednostce odrębnej i samoistnej, — wszystko to leży poza obrębem uzdolnień większości Włochów.

Wychowanie katolickie, dogmatyczne w swej treści — równie jak długi szereg rządów opiekuńczych, w ciągu wieków oduczyły Włochów myśleć w pierwszej osobie. Nędza dokonała reszty. Dziś jeszcze przeciętny Włoch odstępuje kościołowi swą niezależność duchową; w dobie obecnej, państwo, podniesione do rangi celu samego w sobie, przymusza go także do wyzbycia się godności człowieka, spychając go na poziom zwykłego środka służebnego: logiczny wynik wiekowego procesu biernych, poniewolnych wyrzeczeń.

Słynne włoskie „dolce farniente" — zelżywą będące legendą w dziedzinie materialnej — ma, trzeba przyznać, niejakie uzasadnienie w zakresie moralnym. Włosi są leniwi moralnie. Tkwi w nich pewien osad sceptycyzmu i oportunizmu, który łatwo prowadzi ich do lekceważenia i podkopywania wszelkich wartości, do przeobrażania w komedie najtragiczniejszych przeżyć. Wdrożeni do rozumowania o najważniejszych sprawach za pomocą pośredników (a czyż nie na tym polega abdykacja z własnej myśli?) z łatwością rezygnują oni także z własnej roli w wielkich sprawach politycznych. Interwencja jakiegoś „deus ex machina", jakiegoś Wodza, obojętne czy będzie nim papież, król czy Mussolini — odpowiada częstokroć ich konieczności psychologicznej. Ujmowane z tego stanowiska, rządy Mussoliniego mogą być wszystkim, czym chcecie, tylko — nie rewolucją. *Wiążą się one z najstarszą, najgnuśniejszą tradycją włoską i idą po linii najmniejszego oporu.*

Naprzekór wszelkim pozorom, faszyzm włoski jest najbierniejszym wynikiem dziejów Italii; jest kolosalnym nawrotem do jej wieków minionych, jest nędznym zjawiskiem przystosowania i samowyrzeczenia. Mussolini zatryumfował dzięki powszechnej niemal społeczeństwa włoskiego dezercji z pod znaku swobód obywatelskich, dezercji osłonionej siecią uczonych kompromisów. Drobna zaledwie mniejszość robotników oraz pracowników umysłowych zdobyła się na to, aby od początku stawić Mussoliniemu opór nieprzejednany. Mussolini wyjawia całą miarę swej banalności, gdy zagadnienie władzy i dyscypliny wysuwa jako najistotniejsze dla Włochów zadanie wychowawcze. Nie! to, czego uczyć trzeba Włochów, to nie jest karność i posłuch. Na posłuchu i karności nie zbywa ludziom, którzy z pokorą znosili wszelkie rządy, wszelakim służyli tyranom.

Dzieje Włoch nie znają do chwili obecnej ani jednej prawdziwej rewolucji ludowej. Po wszystkie czasy lud włoski wyłaniał ze siebie szczyty wyniosłe, lecz samotne i niedostępne. Mniejszości bohaterskie, charaktery żelazne. Ale nigdy nie zdołał urze-

czywistnić, uwydatnić sam siebie. Italia stała na uboczu, zdala od walk religijnych, tego w ówczesnych warunkach zaczynu wolności, a zarazem aktu narodzin nowoczesnego człowieka. Katolicyzm włoski, skażony przez bierny konformizm powszechny, pozostał obcy temu nawet procesowi oczyszczenia, jaki nastąpił po Reformacji. Katolicyzm w krajach monopolu katolickiego nie ma nic wspólnego z katolicyzmem tych krajów, gdzie współzawodniczyć musi z innymi wyznaniami.

W długiej kolei wieków Włosi żyli w dziedzinie politycznej światłem odbitym od innych krajów. Wielkie fale życia europejskiego nawiedzały ich uszczuplone i załamane.

Nawet walka o niepodległość i zjednoczenie Włoch była dziełem mniejszości, nie zaś powszechną namiętnością ludu. W bojach przeciw obcej przemocy wzięła udział skromna zaledwie liczba miejskich ośrodków północy. W Italii środkowej i południowej Piemontczycy, po krótkotrwałym momencie entuzjazmu, weszli niebawem w rolę dawnych Burbonów i Habsburgów. Biurokracja piemoncka ścisnęła w swoich kleszczach całe Włochy, paraliżując ostatnie odruchy autonomii. Jak w zjednoczonych Niemczech, tak samo i w zjednoczonej Italii prąd monarchiczno-dyplomatyczny odseparował ideę unifikacji od idei wolności. Mazzini i Cattaneo wyszli z pobojowisk „Risorgimenta" zwyciężeni. Wolność polityczna, która z biegiem lat narastała w instytucjach parlamentarnych, była niestety, powierzchownym jedynie wytworem tranzakcji i przetargów politycznych.

Podbój wolności nie skojarzył się we Włoszech z żadnym ruchem masowym, zdolnym odegrać rolę mitu bądź zwiastuna. Masa pozostała nieobecna. Proletariat nie umiał zdobyć swych odrębnych swobód organizacji, strajku, swego prawa głosowania; nie potrafił wywalczyć ich ceną wytrwałych wysiłków i ofiar. Szkoła, jaką przebył około roku 1900, trwała zbyt krótko. Co zaś do powszechnego prawa głosowania, to stało się ono tym, czym było w rzeczywistości, koncesją, wykalkulowana w kancelariach ministerialnych. Zasada, wedle której człowiek kocha i broni tylko tego, za co poświęcał się i walczył, zyskała nowe potwierdzenie w eksperymencie faszystowskim. Gmach swobód włoskich zawalił się, jak rzecz martwa, pod pierwszym uderzeniem; klasy zaś pracownicze obojętnie i bezwładnie patrzyły na ruinę wartości, które wciąż jeszcze były obce ich duchowi.

Gdy Mussolini dziś popisuje się liczbą swoich wojsk, gdy chwali się jednomyślnością opinii, panującej w kraju, zanikiem wszelkiej istotnej opozycji, zagładą wolnej inicjatywy w łonie jakiejkolwiek bojowej mniejszości, gdy w imię swej karnawałowej rewolucji sławi swą partię, jako jedyną podstawę rządów, w gruncie rzeczy wznawia on i przywraca do życia to, co w przeszłości Włoch było najgorsze: fałszywe przepychy burbońskie. Wskrzeszając zbutwiałe wzory zaborcze, nie pozostawia on swym rodakom nawet tej pociechy, iżby widzieć w nim mogli cudzoziemca, władcę obcego najazdu. Nie. Tym razem jarzmo niewoli przyniósł Włochom syn ziemi ojczystej.

Właściwie mówiąc, buntowniczy temperament romański mógłby łatwo w Mussolinim zagrać żądzą walki. Ale walkę rozumie on jedynie, jako przejaw siły brutalnej. Despotyczna pycha dyktatora każe mu systematycznie tłumić wszelkie odruchy opozycji.

A jednak jego sekciarska tyrania, koniec końcem, służy sprawie wolności. Pałką i kajdanami, męką zesłania na samotnych wyspach i wyrafinowanymi katuszami Mussolini w dziesiątkach tysięcy Włochów kształci i hartuje rycerzy wolności. Nieubłagana logika teroru sprawia, że prześladowania i represje stają się sprzymierzeńcami sprawy, którą miały pogrzebać.

Po raz pierwszy w dziejach włoskich żądanie niepozbytych praw człowieka i obywatela, praw rządzenia sobą, staje jako zagadnienie całego narodu, nie zaś tylko grona wtajemniczonych. Nie ma dziś ani jednego Włocha, jakbykolwiek był ubogi i ciemny, którzyby nie wiedział, co to jest faszyzm; któryby nie znał zagadnień życia i śmierci, stawianych przez rządy faszyzmu. Ostatni z nędzarzy, głodujących w Kalabrii, może dziś cierpieć i żywić nadzieję w imię tej samej sprawy, która każe cierpieć i żyć nadzieją najświatlejszemu uczonemu lub artyście. Poprzez piekło upokorzenia i poniewierki, w coraz szerszych masach ludu włoskiego rodzi się tęsknota za wolnością i żywiołowe poczucie jej wartości.

Możnaby nawet powiedzieć, że Włosi psychologicznie są wolniejsi dzisiaj, w ogniu tej rozpaczliwej walki o swobody zasadnicze, niż byli dawniej, w okresie t. zw. państwa konstytucyjnego, którym w istocie rzeczy rządził samowładnie Depretis lub Giolitti.

Jak bywa zwykle, tak i dziś każdy widzi zagadnienie poprzez lupę swego interesu i swego stronnictwa, ale wzbiera już prąd, który wszystko pochłonie: tym prądem jest wolność. Opresja faszystowska przygotowuje jedność moralną ludu włoskiego.

Karol Rosselli.

Józef Ujejski

W Warszawie zmarł w sile wieku historyk literatury polskiej, prof. Józef Ujejski. Wybitny ten uczony znaczną część swego pracowitego żywota poświęcił poznawaniu i zgłębianiu mistycyzmu, mesjanizmu i romantyzmu polskiego. Był także znawcą literatury współczesnej, o czym świadczyły Jego znakomite wykłady uniwersyteckie o Conradzie i Żeromskim. Jako profesor reprezentował co raz rzadszy dziś typ światłego pedagoga, uduchowionego nauczyciela z powołania, który nietylko rozsiewał ziarna swej głębokiej wiedzy i pobudzał do myślenia, ale niecił także w duszach swoich uczniów prawdziwe zamiłowanie do literatury ojczystej. Jako człowiek zaś był wzorem szlachetności uczuć, przyjacielem i obrońcą słabych, krzywdzonych i poniewieranych. Hołdując zasadom sprawiedliwości, przeciwstawiał się otwarcie i mężnie wszelkim objawom przemocy i barbarzyństwa. Był humanistą na katedrze i w życiu.

Szlachta folwarczna i biskupi

w powstaniu kościuszkowskim

Dwa fakty: zatwierdzenie przez sejm grodzieński rozbiorów (przy biernym tylko oporze części posłów), oraz katastrofalne zahamowanie życia gospodarczego na samym początku „złotej ery" rządów Targowicy — zachwiały popularność możnego zrazu, stronnictwa reakcji. Odsunęła się od niego znaczna część średniej szlachty, która zdecydowana była bronić swoich przywilejów, ale nie chciała opłacić ich całkowitą ruiną. Traciła również reakcja niektóre elementy drobnoszlacheckie. Wprawdzie sejm grodzieński przywracał małorolnej i bezrolnej szlachcie przywileje, nadwyrężone przez konstytucję majową, jednak w wytworzonej sytuacji wewnętrznej, kiedy kurczyły się i znikały możliwości zarobku, przywileje te miały znaczenie problematyczne. Ale nawet ta szlachta, która odsunęła się od kliki rządzących z pomocą wojsk rosyjskich feodałów — nie zbliżyła się bynajmniej do obozu przeciwnego. Niebezpieczeństwo grożące z drugiej strony było nie mniejsze a nawet z pewnością większe. Wzmagający się ruch rewolucyjny był zbyt wyraźnie związany z miastem, zbyt widoczne nici łączyły go z płomieniejącą podówczas Rewolucją Francuską. Tylko nieliczne jednostki widzimy między spiskującymi „jakobinami", reszta pozostała bierna, pełna niechęci z jednej i obaw z drugiej strony. Znalazło to jaskrawy wyraz po wybuchu Powstania Kościuszkowskiego.

Oprócz dołów mieszczańskich, ludu, czy jak najczęściej wówczas nazywano „pospólstwa", które scharakteryzowana wyżej sytuacja pchała do walki z arystokracją polską i Rosją, wysunął się na widownię czynnik nowy, mający odegrać wkrótce poważną rolę — wojsko. Wielu historyków (np. Tokarz) usiłowało traktować Powstanie Kościuszkowskie jako powstanie przede wszystkim wojskowe. Stanowisko takie miało tę dogodność, że pozwalało odsunąć zagadnienie społecznego przewrotu i klasowych walk wewnątrz ruchu powstańczego, skupiało uwagę na operacjach wojennych — tę natomiast (niezauważoną) wadę, że fałszowało rzeczywistą treść społeczną wydarzeń.

Rewolucja 1794 r. nie była w ścisłym znaczeniu tego słowa powstaniem wojskowym głównie dlatego, że rządy powstańcze przez większość czasu opanowane były przez czynniki, nie idące po linii reprezentowanych przez armię tendencyj, przeciwnie, wielokrotnie stawały z nimi w jaskrawej sprzeczności. Zresztą nigdy prawie ruch wojskowy nie jest oderwany od konkretnych sił społecznych, w których interesie występuje. Wojsko bynajmniej nie było jakąś pozaspołeczną, „bezpartyjną" siłą, miało ono zupełnie wyraźne oblicze społeczne. W tym szczególnie okresie, słuszne było zdanie przypisywane Napoleonowi, że „nikt nie jest bardziej ludem niż wojsko". Wojsko w czasach ogólnego rewolucyjnego wstrząsu, jeśli tylko mogło wypowiadać swoje stanowisko nie poprzez swoich wyższych dowódców — było i być musiało siłą antyreakcyjną, sprzyjającą przewrotowi społecznemu.

Armia polska była wciągnięta w wir walk politycznych, mając z jednej strony za dowódców arystokratycznych zdrajców, z drugiej przykład znacznej liczby wyższych oficerów, którzy po zwycięstwie reakcji i przystąpieniu króla do Targowicy podali się do dymisji. Decydujące znaczenie miała uchwała sejmu grodzieńskiego, ograniczająca armię polską do 16 tys. Kilkanaście tysięcy miało ulec rozpuszczeniu, kilkunastu tysiącom ludziom groziła utrata zarobku. Ten czysto ekonomiczny moment zbliżał położenie wojska do sytuacji dręczonych głodem i bezrobociem mas miejskich. Sojusz tych dwu sił stwarzał realne niebezpieczeństwo, które odczuwał rząd ówczesny i starannie usuwał z Warszawy polskie pułki, zastępując je rosyjskimi. Chciał pozbawić niespokojne miejskie elementy tak potężnego sojusznika.

W obozie antyarystokratycznym wyodrębnić należy trzy grupy. Szlachecko bankierska z Kapostasem i Działyńskim na czele reprezentowała konserwatywny program społeczny, dążyła do utrzymania nienaruszonego porządku społecznego i wyrażała stanowisko większości „postępowej" szlachty. Wyzwolenia z pod władzy targowickiej kliki i od wojsk rosyjskich, od ciężarów i rekwizycyj chciała dokonać bez uszczerbku dla feodalnych przywilejów szlachty. Aby zarazem zabezpieczyć się przed niespodziankami rewolucji dążyła do *utrzymania sojuszu z Rosją*.

Partią o najmniej określonym programie a grupującą większość elementów burżuazyjnych, wojskowych, oraz deklasujące się elementy drobnoszlacheckie była t. zw. partia kołłątajowska. Wchodziła ona w coraz bliższy związek z Rewolucją Francuską poprzez działaczy, którzy po zwycięstwie Targowicy znaleźli się na emigracji (Kołłątaj, Kościuszko, Barss i in.). Stosunki z Francją bynajmniej nie świadczą o zgodności programu tego stronnictwa z programem Góry i Robespierra. Radykali 1794 r. usilnie zabiegali o pomoc francuską pod naciskiem czysto politycznych konieczności: Francja mogła być jedyną sojuszniczką w Europie, zainteresowaną bezpośrednio w szerzeniu rewolucyjnego pożaru na tyłach swoich wrogów. Zbliżenie to miało ten jeszcze skutek, że było szkołą dla polskich spiskowców i rewolucjonistów: jak zwyciężać zaborców, mobilizując do walki masy chłopskie i ludu miejskiego. *Niewątpliwie pod tym wpływem w programie radykałów polskich coraz więcej miejsca zajmuje sprawa chłopska, a właściwie sprawa użycia sił chłopskich do walki z reakcją.* Wpływy te, dodajmy, jednak, były tylko powierzchowne, przeoczyli nasi rewolucjoniści, że Rewolucja Francuska w pierwszych uderzeniach rozbiła feodalne kajdany skuwające chłopa, że dała mu ziemię — wiążąc tym samym jego sprawę ze sprawą rewolucji. Chłop francuski, walcząc ze sprzymierzoną własną i obcą reakcją, walczył również i w swoim interesie, o utrzymanie zdobyczy konkretnych. Polscy radykali chcieli, aby chłop polski robił to samo za darmo, ewentualnie na niewypełniony jeszcze i niepewny weksel.

Wyodrębnić możnaby najbardziej skrajny odłam radykałów, najbliżej związany z półproletariackimi dołami miejskimi, który nie zawahałby się przed wywołaniem rewolucji chłopskiej. I tam jednak nie znajdujemy skonkretyzowanego programu. Najdalej posunięte hasło żąda wolności dla chłopów, bez formułowania gospodarczych konsekwencyj. Agitacja wśród chłopów, na którą kładli nacisk działacze emigracyjni, miała pozyskać przychylność chłopa dla powstania, starannie natomiast unikała wszystkich momentów, mogących obrócić się w konsekwencji przeciwko szlachcie — w rezultacie nie mogła poruszać niczego, żadnej istotnej dla chłopa sprawy.

Sytuacja w kraju była naprężona i wybuch wisiał na wosku. Wystąpienia domagało się zagrożone demobilizacją wojsko. Pozatym władze rosyjskie w Warszawie wpadły na trop spisku, co pociągnęło za sobą aresztowanie szeregu działaczy. Dalsza zwłoka groziła całkowitym rozbiciem organizacji i osłabieniem siły wojskowej. Mimo to kierownictwo emigracyjne nie mogło zdecydować się na decydujące posunięcie. Emisariusze emigracji raportowali o niegotowości kraju, przysłany specjalnie gen. Zajączek meldował, iż agitacja wśród chłopów za małe poczyniła postępy i na nią radził położyć większy nacisk.

Inicjatywa wyszła od wojska. Jeden z oddziałów pod dowództwem Madalińskiego „zbuntował" się i wyruszył w kierunku Warszawy. Nie poparty jednak z żadnej strony, ani przez pozostałe oddziały wojskowe, ani przez wybuch w stolicy, którego oczekiwano, zawisł w próżni. W tej sytuacji, ponieważ centralne ośrodki, głównie zaś Warszawa, strzeżone były przez liczne garnizony wojskowe (rosyjskie) nie pozostało nic innego jak przenieść zaczątek ruchu powstańczego w dzielnicę słabo wojskiem rosyjskim obsadzoną — w Krakowskie. Tam też okrężną drogą podążył oddział Madalińskiego.

Do Krakowa tymczasem przybył wraz z grupą działaczy emigracyjnych Kościuszko i dnia 24 marca proklamowany został „akt powstania obywatelów, mieszkańców województwa krakowskiego". Akt ten nie przemawia coprawda w imieniu całego *narodu*, w gruncie rzeczy jednak ma charakter ogólnej proklamacji, ustanawia bowiem organizację narodowych władz powstańczych, wojskowych i cywilnych, narzuca powstaniu pewne ramy, których przekroczyć nie miało. Akty pozostałych ziem i dzielnic były tylko (i miały być) akcesami do aktu krakowskiego i wyrażeniem solidarności z jego programem.

d. n. *W. K. Bieńkowski*

Do przyjaciół „Epoki"

Prosimy o podanie nam adresów osób, którym należy przesłać numery okazowe „EPOKI"

Słowa, które ich nie doszły...

Rzecz, którą drukujemy poniżej, wejdzie do zbioru opowiadań, mających się wkrótce ukazać w książce pod ogólnym tytułem „Przepraszam, że żyję", nakładem księgarni J. Przeworskiego w Warszawie. *„Epoka"*.

„Pan będzie przemawiał na Akademii 11 listopada!" pada rozkaz jednego z najmilszych moich, bezpośrednich dowódców". „Ja?" — Tak! Omówię to z Naczelnikiem!"... „Rozkaz! Panie Komisarzu!"

Spłonąłem „jak dziewczę niewinne na myśl o nocy przedślubnej" — jak mi się to kiedyś wyrwało. Tu? W tym trzypiętrowym hallu o wspaniałej akustyce, gdzie setki ludzi będzie mnie słuchało... bez tchu, bez drgnienia z chciwie wlepionymi we mnie ślepiami.

Mówić w tej burej kurcie — uniformie ludzi wyklętych przez prawo!... Mówić do ludzi. Zatargać ich trzewiami... Ja, który już tyle razy w ciągu tych lat gorzko opłakałem myśl, że już nigdy publicznie przemawiać nie będę...

Poniosło mnie... Zadzwoniono właśnie na obiad! No, po obiad chłopcy!" ryknąłem „na próbę". Strażnicy drgnęli na swych posterunkach, chłopcy o mało się nie poprzewracali na żelaznych schodach...

— „Wujaszek, jak zawoła — to każden usłyszy". Śmiechu było!...

Tak tu każde silne słowo padnie, jak grzmot!... Pójdzie byczo!

***

Skróciłem posiedzenie przy herbatce, zamknąłem się w celi i zacząłem się przygotowywać. Odrazu pierwsza trudność... Jak zacząć? „Tam", zazwyczaj na obchodach i akademiach zaczynałem po prostu: „Obywatele!" A jakżesz tu mówić o obywatelach, kiedy co najmniej trzecia część „kozich wnuków" jest właśnie praw obywatelskich pozbawiona. Może zacząć odczytowo:

„Szanowni słuchacze"? Hm! Będzie prokurator... naczelnik... słuchacz, słuch słuchać, posłuszeństwo... Nie stanowczo prokurator nie może być słuchaczem więźnia! Niby, może, jak ten gada, a on słyszy... ale w samym słowie jest jakby coś, co w tym wypadku nie powinno być podkreślone.

„Szanowni zgromadzeni"? Niby dobrze... ale w tym pomieszaniu, „zglajchszaltowaniu" „kozich wnuków" z tak dla nas niebosiężnymi władzami tkwi coś wysoce niestosownego. Przypomina mi się czyjeś przemówienie na jakiejś stołecznej arcyoficjalnej uroczystości. „Panie Prezydencie, Panowie Ministrowie, Szanowni Zgromadzeni!" Tak... u nas też prokurator i naczelnik siedzą na fotelach, trochę wysuniętych przed rzędami krzeseł i ławek. Dystans między ministrem i sklepikarzem z Czerniakowskiej jest stanowczo mniejszy, niż między prokuratorem i naczelnikiem — a więźniem. Nawet między strażnikiem i więźniem-inteligentem! To są wprost odległości niewspółmierne, tu u nas astronomiczne. Trzeba więc tak zacząć: „Panie Prokuratorze, Panie Naczelniku, Szanowni zgromadzeni i ukochani koledzy" też niedobrze: komisarze i aspiranci się obrażą... „Panie Prokuratorze, Panie Naczelniku, Panowie Komisarze i Aspiranci, Panowie niżsi funkcjonariusze... Nie. Fatalnie! Nie trzeba wytykać niższości!... Po aspirantach pójdą „Panowie przodownicy

i strażnicy.." Cholera! Starsi strażnicy się obrażą! No i gdzie damy? Do aspirantów się zwracam, strażników... a do Pani Naczelnikowej i dam z Patronatu nie? Przecież nawet na obchodach na wolności, jak zauważyłem, wśród słuchaczy jakiś „przesłodki" znajomy „pysio" — nie mogłem się powstrzymać i zamiast „Obywatele" grzmiałem: „Piękne Panie i Szlachetni Panowie!

Więc jakże będzie? „Panie Prokuratorze, Pani Naczelnikowo, Panie Naczelniku, Panie Komisarzowe i Panowie Komisarze, Panie Asp..." psiakrew! Żaden z aspirantów nie jest żonaty! Zresztą to będzie jakaś litania — a nie początek! Możeby to jakoś uogólnić: „Dostojne Władze, Szanowni goście i kochani koledzy!" To brzmi nieźle! Ale te „władze" — zaraz mi się przypomniał któryś ze znakomitych pijaków który wprowadził do smutnej humorystyki polskiej wesoły zwrot. „Panie Władzo!" Potym ta pewna przeciwstawność, „Dostojni" — „Kochani". W rosyjskim gimnazjum wpajano mi, że władzę wszelką należy z głębi serca kochać, nad wszelką miarę szanować, a przede wszystkim bać się jej. Teraz mi się wszystko poplątało i nie jestem pewien, czy regulamin nie wymaga odemnie, poza posłuchem i poszanowaniem także miłości dla przełożonych! Djabli nadali. Bitą godzinę siedzę nad arkuszem papieru, przeznaczonym na szkic przemówienia i nie napisałem nawet pierwszego słowa.

Trudno! Odłóżmy to na koniec. A teraz treść!

11 listopada... odrodzenie państwa. Żeby te draby zrozumiały (myślę oczywiście tylko o „burej" części moich słuchaczy), co to jest — trzeba im powiedzieć jaka ta Polska była, jak upadła, jak się z upadku dźwignęła. Dużo jest tu chłopów, trzeba słówko o Kazimierzu Wielkim, są Ukraińcy — trzeba o Jagiellonach, o wzroście potęgi. Prokurator będzie słuchał i trochę inteligentów — trzeba coś o odwiecznej polskiej walce Wielkości z Małością. Od Batorego do Piłsudskiego... Choć kilka słów o upadku: „królewięta"... „pańszczyzna". Potem o walce ducha z niemocą własną i przemocą obcą. Od Wielkiego Sejmu do Wielkiego Marszałka. — Tego wszystkiego trzeba ich w pół godziny *nauczyć*. Ale czym poruszyć moich kochanych „burków"??? Kiedyś mówił do mnie mój wielki przyjaciel, że jak Mussolini chce, żeby włoski lazzarone mył choć raz na miesiąc nogi — wmawia w niego, że ten w prostej linii pochodzi od senatorów Wielkiego Rzymu epoki Cezarów.

Więźniowie chętniej od ludzi wolnych chodzą na uroczyste Akademie. Pójdą na wszystko, co tylko rozprasza monotonię życia. Będą słuchali bez tchu kazania natchnionego kaznodziei, będą oczy wypatrywali na sztuki kuglarza z jarmarku.

W akademiach tu jest moment wzruszający, jak w dzieleniu się opłatkiem pod choinką z X. biskupem. Oto w święto Ojczyzny, pilnujący i pilnowani, oskarżyciel i skazaniec, stróże Prawa i przez prawo wyklęci, zbierają się jak synowie Jednej Matki, by Ją uczcić!

Ale w tym wszystkim jest pewna sztuczność. Bo przecież, za chwilę, gdy światła na rampie zagasną — starszy brat w mundurze zielonym zaryczy na młodszego brata w burej kurcie: „No czego stoisz? Czego się gapisz? Jazda pod cele!" My te „burki" czujemy, że jesteśmy tu z łaski, że właściwie nie mamy **prawa** z innymi rodakami się radować, my, wyrodne nieposłuszne... takie syny. Żeby rzucić okruch dumy w te zgnębione dusze, żeby upieścić te zbolałe serca — trzeba im powiedzieć i dowieść, że my też, my więźniowie mamy **prawo** brać udział w święcie Narodu. Myśl zaczyna rozpaczliwie brnąć w tym kierunku. Rola więźnia kryminalnego w walce o Niepodległość? Temat na pierwszy rzut oka fantastyczny! A jednak zaczyna mi się przypominać, że w dziejach różnych wojen i oblężeń miast, nie pamiętam gdzie i kiedy, ale wiem napewno, że bywało tak, iż w wielkiej potrzebie otwierano podwoje więzień i ze skazańców formowano oddziały, które walczyły zawsze jak lwy, były wzorem odwagi i bohaterstwa. Takie rzeczy były przy oblężeniach Warszawy — były też ostatnio w roku 1920.

Przypomina mi się, że w austriackim wojsku w roku 1914 w krakowskim trzynastym pułku piechoty, sławnej trzynastce „dzieci krakowskich" był batalion z samych batiarów, nożowców i różnych oprychów, ad hoc zwolnionych z więzienia. Bractwo to pod Kraśnikiem w armii Daukla, na komendę „Bajonett auf!" i „Nieder!" *) bagnety, które były jak noże, wzięło w zęby, karabiny złapało za rury i z okrzykiem „Bierz skur...a za ja..." biegiem ruszyło na Moskala. Oficerowie zostali w tyle. Wpadli chłopaki pod karabiny maszynowe. Legli pokotem jak zcięte żniwiarką zboże, żaden nie wrócił.

Albo Lwów! Któż pierwszy obok dzieci ze szkoły stanął w szeregach? Batjar lwowski. Antek z Łyczakowa! Wieluż z tych, którzy wyszli z za kraty, aby bronić ukochanego miasta należy się zaszczytna „Orląt" odznaka! ,

„I czyż gdy w godzinie nowej potrzeby Ojczyzny, przyjdą tu do nas nasze władze i zapytają kto chce, na polu chwały zmazać hańbę wyroku — czyż w takiej chwili nie pójdziemy wszyscy — starzy i młodzi, słabi i silni?"... Słyszę siebie, jak ja to mówię!...

Słyszę to... i rodzi się wątpliwość, czy pójdą wszyscy, czy ktoś co ma jeszcze kilka miesięcy odsiedzieć tylko, nie będzie wolał zostać? Nie! I to im też muszę powiedzieć!!

Każdy z nas, więźniów, jest skazany nie tylko na tyle a tyle lat więzienia i tyle a tyle lat pozbawienia praw obywatelskich, nie! — każdy z nas jest jeszcze skazany na dożywotnią w duszy swej dyskusję... z prokuratorem. To jak przekleństwo Temidy wlecze się za nami bez końca, odbiera nam sen, zatruwa nam chwile wypoczynku. Ciągle w myślach kłócimy się z naszymi oskarżycielami! Przekonać go! Dowieść mu, że on nie miał racji, oskarżając mnie tak bezwględnie! Że ja wcale nie jestem taki zły, jak on mnie odmalował. Udowodnić wszystkim, że ja może jestem lepszy od niego. Tem go upokorzyć! Upokorzyć jakimś niezwykłym czynem, czy niezwykłym życiem... ostrzec wszystkich prokuratorów świata!...

Tak! to jest streszczenie tego, co w najtajniejszym sanctum sanctissimum duszy więźnia na całe życie pozostanie... o ile... więzienie nie wyssie z niego duszy...

To rozwiązuje zagadki wielkiego bohaterstwa, które rozkwita w chwilach dziejowych w szeregach mętów społecznych. Pójdą! Pójdą napewno! Nawet

*) Bagnet na broń! Padnij!

ci, co dziś tak srodze pomstują za swoje we własnym pojęciu istotne krzywdy.

Teraz zakończenie. Trzeba poruszyć! Trzeba by serca zadrgały wszystkie. Pod żakietem, mundurem i kurtą, o bluzkach damskich nie mówiąc. Mimowoli myśl moja zwraca się do tego komu takie zadanie łatwo niezmiernie przychodzi, — do przezacnego Pana Kornela (Czytelniku! Jeśli nie wierz, który to Kornel — nie wart jesteś aby Cię święta ziemia polska nosiła!). Już raz słów jego nadużyłem publicznie.

Obrońcy w Sądzie mają piękny zwyczaj na dowód niewinności klienta, przytaczać jego życiorys i to od lat dziecinnych. Oto ten świecący łysiną na ławie oskarżonych jegomość, jak był małym Kaziem znalazł na ulicy rubla i oddał stójkowemu. Czyż zatem taki człowiek.... itd. itp.

Nie miałem adwokata. Broniłem się sam. Wrodzona skromność nie pozwalała mi przytaczać własnej biografii. Tłumacząc Sądowi, że to jest bez znaczenia, powołałem się na p. Kornela, który rzecze: „Złodziej w duszy człowieka rodzi się nagle i dojrzewa na poczekaniu".

W następnej ciężkiej chwili mego życia znów pukam do panakornelowej skarbnicy. Trzeba im wszystkim powiedzieć o tym cudnym lwowskim cmentarzu, gdzie to obok świętego dziewczątka, owej Zuzi, uczenicy IV klasy, której ciałko zwisło na zdobycznym karabinie maszynowym, — spoczywa w wielkiej chwale ów Antek z Łyczakowa...

Jego krew — daje nam prawo dziś się cieszyć z całym narodem, jego zasługa pozwala nam dziś śmiało stanąć obok władzy przy śpiewaniu hymnu. On będzie nam z nieba patronował, gdy wybije Godzina!

To wszystko im chciałem powiedzić. Nigdy tego nie robię, ale tu spisałem swoje przemówienie. Wypadło coś dwa duże arkusze! Trzeba będzie skrócić....

***

Oszczędzono mi tej fatygi. Decyzja czynników decydujących była odmienna. Więzień nie może przemawiać. Smutno mi było bardzo. Rękopis zadedykowałem i podałem aspirantowi, który chciał mnie wypromować na mówcę. Napewno nie przeczytał! Za dużo tego było!

Wreszcie przyszedł uroczysty dzień. Krzątanina. Ruch. Widownia wypełnia się na godzinę przed rozpoczęciem. Przychodzą rodziny więzienników z dziećmi. Dziatwa się bawi, wścibia główki pod kurtynę. Szczególniej zaciekawia ją kolega, który wyjednał sobie prawo zapuszczenia brody. Wyglądał, bestia, jak zwierzę. Radziłem mu się ukryć, jak przyjechała komisja jakichś antropo - kryminologów z Warszawy. „Zobaczysz, że Cię zabiorą do badań". Tu chłopak wlazł, ku uciesze dziatwy, na jakąś dekorację i pracował nad tym, by jakieś drzewo mniej przypominało składany parasol. Puściłem ku jego strapieniu pogłoskę, w którą wszyscy uwierzyli, że jakieś dziecię pokazało go ojcu: „Patrz, tatusiu, — małpa!"

Dziatwę wkońcu odwołały mamy, goście się zeszli i rozsiedli. Zabrzmiał hymn narodowy. Wszyscy wstali. Uniosła się kurtyna. Na scenie stała leciwa dość ówczesna nauczycielka szkoły więziennej. Miła osoba. Ogromnie ją lubiłem za szczerą chęć kierowania moją lekturą. Nie wierzyła mi, że już czytałem Orzeszkową!

Chrząknęła i zaczęła ćwirkać cichutko jakiś banał:

„Od najrańszych lat mały Ziuk w cichym litewskim dworze"... Na galerii drugiego piętra nic nie było słychać. Jakiś ukrainiec obok mnie zaklął cicho: „Prowałyś ty, trastja twoju maty". I w tej że chwili — drugi sąsiad prawie na głos woła: „Podywiś, podywiś! Wże wałytsia!" Rzeczywiście! Pod naszą oratorką usunęła się jakaś źle zmontowana deska. Ona zapada się do połowy pod scenę a na nią cała boczna dekoracja. Choć duszy mej nie obce było w tej chwili to, co Niemcy zwą „Schadenfreude" — jednak w następnej chwili podziękowałem Opatrzności gorąco, że mnie od takiej konfuzji uwolniła. Ja zresztą, ze względu na „żywą wagę" organizmu, pewniebym się już zapadł, przed podniesieniem kurtyny.

Skutki katastrofy szybko naprawiono. Podczas przymusowej przerwy przygrywała więzienna orkiestra (5 mandolin, gitara i b. podłe skrzypce) okolicznościową melodię p. t. „Księżyc nad Taiti". Potem więzień zadeklamował wiersz. Trupa amatorska zagrała obrazek: „Przed Belwederem". Chór więzienny odśpiewał pieśni legionowe. Na zakończenie „Pierwsza Brygada". Ongi, przed laty, wprost kochałem tę dumną pieśń. Potym mi gruntownie zbrzydła, jak na akademiach zaczynały ją intonować jakieś skrzeczące, wyfraczone, jeszcze przed wczoraj endeckie tabetyki. Tu, znowu w tej pieśni śpiewało mi coś... Co? Chyba to o czym właśnie tak strasznie mówić chciałem... To, co było w tych słowach, które ich nie doszły...

Włodzimierz Wiskowski

Apel do ludzi pióra i nauki

„Od miesiąca przebywają w areszcie śledczym w więzieniu na Łukiszkach w Wilnie znani publicyści Henryk Dembiński, Stefan Jędrychowski i Maria Żeromska. Ciążące na nich zarzuty, to przede wszystkim „akcja prasowa" — t. j. współpraca w nie wychodzących już przeszło od roku czasopismach „Poprostu" i „Karta". Pisaliśmy, że artykuły Żeromskiej nie były ani razu konfiskowane, że Jędrychowski został na 3 tygodnie przed faktem aresztowania uniewinniony w słynnym procesie Wileńskiej Lewicy Akademickiej, w którym to była omawiana jego działalność publicystyczna".

Los tych naukowców, którzy jak Żeromska i Jędrychowski kończyli prace doktorskie, jest tym okrutniejszy, że pozbawieni są w więzieniu odpowiednich książek i skazani na bezczynność.

„Młodzi ludzie, bez wyroku skazującego, którego być może nigdy nie będzie, marnują dzień za dniem.

Dembiński jest b. poważnie chory na wątrobę. Wikt więzienny działa zabójczo na jego zdrowie, choć ma t. zw. dietę szpitalną dla chorych, jednak to nie wystarcza. Wyjdzie po kilku miesiącach ze zmarnowanym zdrowiem. I poco to wszystko? A jeżeli śledztwo zostanie umorzone?

Stanowczo za nie celowe, za nie słuszne z każdego punktu widzenia należy uważać przedwczesne odrywanie młodych ludzi od ich pracy zawodowej, od pracy naukowej. W tym wieku zwykle człowiek jest w trakcie zdobywania sobie samodzielnego stanowiska, w początku swej pracy zawodowej. Czy konieczne było przerwanie tej pracy w tak ostry sposób? Czy zamało mamy bezrobotnej młodzieży? Czy za dużo mamy ludzi nauki?

Apelujemy do związków literackich i naukowych, by zajęły się sprawą trojga młodych ludzi!" („Robotnik").

W imię najszczytniejszych tradycji

ODEZWA

Pogromy w Brześciu i w Częstochowie — to ostatnie przejawy zbrodniczej akcji, prowadzonej na różnych terenach. Społeczeństwo polskie zbyt długo zachowuje milczenie w tej sprawie, która nie może być obojętna dla tych wszystkich, którzy dbają o poziom życia społecznego i kulturalnego w Polsce i o jej przyszłość.

Pastwienie się nad bezbronną najuboższą ludnością żydowską, niszczenie i rabunek warsztatów pracy drobnych rzemieślników, bicie i prześladowanie koleżanek i kolegów na wyższych uczelniach, uchwały różnych stowarzyszeń wykluczające kolegów żydów — oto długi szereg faktów poprzedzających Brześć i Częstochowę.

Akcja pogromowa przypomina starszej części społeczeństwa dobrze jej znane z czasów carskich metody, stosowane przez czynniki skrajnej reakcji w walce z prądami wolnościowymi, demokratycznymi. Obecnie antysemityzm posługuje się szerszym zakresem środków i zapożyczonym hasłem rasizmu, istota rzeczy pozostała jednak ta sama.

Hańbą jest, że akcja pogromowa jest realizowana w niepodległej Polsce. Hańba ta spadnie na całe społeczeństwo polskie, jeżeli nie postawi ono tamy zbrodniczemu działaniu i szerzeniu haseł, które to działanie prowokują. Społeczeństwo polskie pod groząą upodlenia młodzieży, sprowadzenia życia społecznego do poziomu barbarzyństwa, upadku kultury, więc wobec zagrożenia najistotniejszych wartości zbiorowego życia w Polsce, musi zmobilizować wszystkie swe siły do przeciwstawienia się rozpętanej akcji.

W imię najszczytniejszych tradycyj narodu polskiego, w imię demokratycznych idej wolnościowych, którym zawdzięczamy odzyskanie niepodległego bytu naszej ojczyzny, wzywamy tych wszystkich, którym drogie są te idee, aby podjęli walkę na każdym odcinku życia społecznego z zalewem obcego duchowi polskiemu barbarzyństwa.

St. Bukowiecki, Dr. F. Burdecki, Prof. St. Czarnowski, Dyr. F. Czerwijowski, J. Ciągliński, Prof. A. B. Dobrowolski, Dr. R. Fleszarowa, Prof. W. Gumplowicz, Prof. Dr. T. Kotarbiński, K. Krajewska, Dr. J. Kreczmar, Inż. St. Kruszewski, St. J. Kudelska, Doc. Dr. T. Manteuffel, Anna Nałkowska, H. Nałkowska-Bickowa, Doc. Dr. M. Ossowska, Doc. Dr. St. Ossowski, Dr. Z. Podkowińska, J. Pruchnik, W. Rogowicz, I. Sawicka, L. Sawicki, Dr. K. Sowacki, W. Szumański, J. Wasiutyńska, Prof. Dr. T. Wałek-Czarnecki, Doc. Dr. St. Zahorska, Dr. T. Żebrowski.

Wydarzenia i dokumenty

BUNT SUMIENIA

Dla postawy Francji postępowej wobec ostatnich wydarzeń hiszpańskich oraz nastrojów, nurtujących opinię francuską — znamienne jest wystąpienie wybitnego publicysty, Jana Guchenno, na łamach *„Vendredi"*. Artykuł jego nosi tytuł: „Próba sumienia. — Hiszpania i Europa". Przytaczamy charakterystyczne fragmenty.

„Nie ma dziś sumienia sprawiedliwego i wolnego, dla ktorego zmagania republiki hiszpańskiej nie są dramatem osobistym. I dramat ten, podobnie jak sama rozgrywka hiszpańska, znajduje się dziś w momencie przełomowym.

Chodzą słuchy, że nigdy nie byliśmy bardziej bliscy wojny. Prawdą jest jednak może, że nigdy również nie byliśmy bliżsi pokoju, prawdziwego pokoju.

...Pisząc dziś o Hiszpanii, przerywam milczenie, które wielekroć ciążyło mi wstydem. To milczenie było jednak wyrazem mych wahań i skrupułów. Wahań między dwiema politykami — polityką „nieinterwencji" i polityką wolnego handlu bronią.

...Nikt bodaj głębiej nie przeżywa konfliktu wewnętrznego, niż ci, którzy mają w pamięci ostatnią wojnę. ...Nie lubimy wskrzeszać tych wspomnień. Jest to świat upiornych widziadeł. Czyni on nas innymi od tych wszystkich młodych, którzy „nie wiedzą". Gdy pada słowo wojna — choć będzie to wojna bez nas, lecz w której walczyć będą młodzi — wstają z martwych upiorne wspomnienia. ...Jesteśmy więźniami dawnych przysiąg, złożonych poległym przyjaciołom. ..I może ten lęk i zbyt świeża pamięć sprawiają, że nie jesteśmy **tak odważni** w służbie pokoju, jak powinniśmy być.

...Rządy faszystowskie i zdecydowanie interwencjonistyczne **wykorzystują nasz lęk przed wojną**. ...Pragniemy zachować czyste ręce, lecz to pragnienie czyni nas bezwolnymi wobec systematycznych zbrodni, popełnianych przez Włochy i Niemcy.

...Nasza wola zachowania **czystych rąk** kazała nam zaproponować mocarstwom faszystowskim kontrolę naszej własnej kontroli. Odmowa daje nam swobodę. Oni pragną kontroli, która nie kontroluje. Sytuacja jest przejrzysta.

...Pokój, prawdziwy pokój ma swą cenę. Żąda niekiedy kosztownych ofiar. Żąda odwagi. Godzi się przypomnieć słowa Leona Bluma: „...Należy uznać możliwość wojny dla ocalenia pokoju".

„...Oczywiste i nieprzerwane gwałcenie suwerenności i niezawisłości ludu hiszpańskiego przez obcą przemoc upoważnia każdego dnia do odwołania się do Ligi Narodów oraz zastosowania paktu Ligi i przewidzianych sankcyj. Liga może odrodzić się dzięki takiej akcji.

Wróćmy do prawa. Nasza wola sprawiedliwości jest niemal całą naszą siłą. Stało się jasne, że pokój jest odtąd niepodzielny, a tolerancja niesprawiedliwości — gdziekolwiekby bądź powstała, zagraża bezpieczeństwu Francji i Europy".

ŚWIATŁO ZA KURTYNĄ

„Pragniemy, aby nasze informacje o tajnych rokowaniach niemiecko-włoskich zostały zdementowane. I to przez fakty, a nie oficjalne zaprzeczenia, których wartość jest aż nadto wątpliwa".

Takim zwięzłym komentarzem opatruje paryski tygodnik **„Vendémiare"** swe doniesienia z Berlina o rewelacyjnym dokumencie politycznym naszych czasów.

Dokumentem tym jest list, którego ścisłej daty oznaczyć nie można, acz jest to data ostatnich tygodni; list ten przywiózł do rezydencji kanclerza Hitlera w Berchtesgaden wysoki dygnitarz włoskiej rady partyjnej, wysłannik Mussoliniego.

„Osobiste pismo Il Duce do Führera ma kapitalne znaczenie dla sprawy pokoju europejskiego" — pisze „Vendémiare".

List wskazywał na niebezpieczeństwa, jakimi grozić mogą przyjaźni włosko-niemieckiej przygotowywane wówczas w tajemnicy wizyty: von Neurath miał udać się do Londynu, generał Beck i marszałek Blomberg do Paryża.

Trzonem pisma jest jednak oświadczenie Mussoliniego, iż — jego zdaniem — **wojna nie może być odraczana poza lato 1937.** Stawia też pytanie: czy Rzesza jest gotowa we właściwej chwili **poprzeć akcję Włoch przeciw Anglii nagłą ofenzywą nad Renem?**

Tygodnik *„Vendémiare"* wskazuje, iż potwierdzeniem jakby tego listu są ostatnie oświadczenia dawnego sekretarza generalnego partii faszystowskiej, Farinacciego:

„Każdy dzień, który upływa, pomniejsza szanse koalicji włosko-niemieckiej przeciw koalicji anglo-francuskiej. Zbrojenia Niemiec i Włoch są u kresu z uwagi na sytuację finansowo-gospodarczą obu krajów. Natomiast zbrojenia brytyjskie dopiero się zaczynają, a Francji — nabierają również rozpędu."

PRZEDŚMIERTNY APEL

Prasa i propaganda faszyzmu włoskiego usiłuje wciąż przekonać opinię świata, a przede wszystkim — Francji, że zamordowany Carlo Roselli, wybitny działacz organizacji „Sprawiedliwość i Wolność" — nawiązał przed śmiercią kontakt... z Rzymem, ofiarując swą prawomyślność i lojalność wzamian za możność powrotu i współpracy z... Il Duce. Dlatego też Carlo Roselli miał zostać zamordowany przez towarzyszy swej idei.

W odpowiedzi na zuchwałą insynuację, bezczeszczącą pamięć tragicznie zamordowanego bojownika wolności, prasa francuska i angielska przytacza tekst ostatniej, przedśmiertnej odezwy Roselliego, rozsiewanej w dziesiątkach tysięcy na terenie Włoch. Prasa stawia pytanie: czy autor takiej odezwy mógł być renegatem?

Oto wyjątki z tej odezwy:

„Włosi, Kobiety Włoch, Robotnicy!

„Po zniszczeniu wszelkiego dobrobytu, po skazaniu was na głód, po odebraniu wam praw ludzi i obywateli — faszyzm usiłuje znieważyć imię waszego narodu przed narodami świata.

„Faszyzm posyła na śmierć waszych synów. Nie zabliźniła się jeszcze krwawiąca rana wyprawy afrykańskiej, a oto 24 tysiące żołnierzy włoskich wysłano do Hiszpanii, by uciskali robotników takich samych, jak wy, by uśmiercili republikę wolną i ustanowili reżym nędzy i krwi pod dyktaturą przedajnego rebelianta Franca.

„Robotnicy Włoch! Dajcie usłyszeć swój protest wobec bandy faszystowskiej, która kłamie i przechwala się tym, że cieszy się waszym poparciem. Zawołajcie: dość! Dość masakr, dość wojennych awantur, dosyć ofiar młodzieży, posyłanej na śmierć!

„Kobiety włoskie! Nie poto wydałyście synów na świat, by zbierali i siali śmierć, by kobiety — takie jak wy — płakały, a dzieci niewinne nie mogły nigdy już ujrzeć swych ojców.

„Włosi! Czas podnieść głowę, aby hańba nie przeżarła imienia narodu włoskiego! Śmierć wolnej Hiszpanii nie może być dziełem narodu włoskiego, przemienionego w narzędzie tyranii faszystowskiej!"

WALKA O SWOBODĘ MYŚLENIA

Sławny uczony i myśliciel włoski, Guglielmo Ferrero wygłosił niedawno podczas XV Międzynarodowego Kongresu Pen Clubu w Paryżu przemówienie, które ze wszech miar zasługuje na to, ażeby z treścią jego zapoznał się jaknajszerszy ogół. Z przemówienia tego przytaczamy ważniejsze wyjątki:

„Słyszałem tu znakomite mowy o wolności, zaczynając od przemówienia naszego prezesa. Wątpię wszakże, czy wszyscy członkowie Pen Clubu zdają sobie dokładnie sprawę z powagi problemów, które skupiają się dzisiaj wokół problematu wolności intelektu, choćby dla tego, że większość członków pochodzi z krajów wolnych, gdzie problemy te istnieją tylko w teorii.

Wniosek, zaproponowany przez delegację angielską, utwierdza mnie w tym mniemaniu. Czytamy tam, że celem Pen Clubu jest „bronić całkowitej wolności, niezbędnej dla twórczości literackiej"; dodaje się, że Pen Club„ pozostaje obcy wszelkiej polityce państwowej czy partyjnej". Lecz wolność literatury jest dzisiaj w wielu państwach najbardziej palącym problemem politycznym, jest bowiem kwestią życia i śmierci dla wielu rządów, które upadłyby w ciągu trzech miesięcy, gdyby uznały wolność niezbędną dla twórczości literackiej. Domagając się jawnie wolności myśli, oświadcza się dzisiaj, świadomie, czy nieświadomie, za pewnymi ustrojami i przeciwko innym.

Wolność intelektu jest dziś dla zachodniego świata kwestią polityczną znacznie poważniejszą, niż kiedykolwiek, bądź w XIX-ym wieku, bądź przedtem. Dlaczego? Gdyż mamy do czynienia na całym Zachodzie z elitą rządzącą, doprowadzoną do szału przez strach.

Elita rządząca zachodniego świata rozpętała w r. 1914 siły, których nie zdołała po ukończeniu wojny z powrotem ująć w karby. Świat drży i w swym strachu bardziej niż kiedykolwiek nie ufa literaturze, łącznie z historią i filozofią. W krajach, które mają jeszcze szczęście podlegać rządom prawowitym, strach ludzi sytych i bogatych domaga się, byśmy używali naszych piór jak najczęściej dla bawienia ludzi, a jak najrzadziej — dla ich oświecania i uczenia. Jest to grzeczny sposób wyłączenia z literatury kwestyj palących, które wymagają krytyki obecnego stanu świata, to znaczy kwestyj, które przede wszystkim powinny być poruszane".

„W krajach nie rządzonych przez rządy prawowite nie wystarcza wykluczenie nas ze służby zagadnień; żądają one ponadto, by pióra nasze pracowały wyłącznie dla uzasadnienia, zamaskowania i ukrycia szałów ich strachu. Zaczynamy obecnie rozumieć, czego wymagać może strach od literatury i filozofii w epoce, która nie ma żadnych stałych zasad piękna, prawdy czy moralności. Tu zaczyna się nowy ogromny dramat, którego ofiarami lub bohaterami staną się ludzie pióra".

„Dzisiaj wszystkie zasady stały się płynne, odwracalne i niepewne, na skutek czego każdy z nas jest czymś w rodzaju Samsona, który uzbrojony w swe pióro, może masakrować i zwalać to, co poprzednim generacjom wydawało się Pięknem, Cnotą i Prawdą, zaś wznosić na ich ruinach jako nowych bożków wszelakie okropności, nienawidzone dotychczas przez ludzkość. Ale ta nieledwie boska wolność wymaga straszliwego okupu: bowiem i władza nie jest zmuszona do uszanowania żadnej zasady; a jeśli ogarnie ją szał strachu, może wymagać od nas wszystkich, byśmy udowodnili że diabeł jest Bogiem, a Bóg jest diabłem.

Oto nowa próba ,której wielu z nas zostało już poddanych: znaleźć się nagle w obliczu władzy, która pod groźbą wygnania, więzienia, duchowej zagłady czy nawet śmierci, każe nam dać Cezarowi, co winno się dać Bogu. Ponieważ miałem bolesny przywilej być jednym z pierwszych, których poddano tej próbie, pozwólcie mi uchylić czoła przed tymi wszystkimi z pośród was, którzy od dwudziestu lat cierpią za wygłaszanie prawd, w które wierzą. Przed tymi wszystkimi, którzy umarli wczoraj, bądź od żelaza, bądź ze zgryzoty. Przed tymi wszystkimi, którzy dzisiaj żyją w więzieniach, na wygnaniu, w nędzy, nb. w niemożliwości wyrażania swych myśli, strasznej tortury dla wielkich umysłów. I pozwólcie mi jeszcze powiedzieć, że jeżeli Pen Club chce bronić wolności myśli, znajdzie się w obliczu coraz większej odpowiedzialności. Mamy dziś dwie Europy: Europa, w której istnieje jesz-

cze wolność intelektu i Europa, w której niema już tej wolności. Podział ten nie jest wieczny: albo Europa, która straciła wolność, ją odzyska, albo Europa, która ma jeszcze wolność, ją straci. Bierzemy wszyscy udział, chcąc czy nie chcąc, w tej ostatecznej rozgrywce o wolność umysłu; aby spełnić swój obowiązek w tej walce, nie wystarczy już wkrótce brać udział w Kongresach znakomicie zorganizowanych, na których z wyższą sztuką połączono przyjemności umysłu i ciała. Trzeba również będzie umieć cierpieć, gdyż od walki tej zależy los Europy.

Jeśli Europa straci wolność myśli, to całkowicie upadnie, tak, jak upadły już niektóre jej części, które pogrążyły się w barbarzyńskim zastoju, przypominającym wielce zastój, który stał się śmiertelnym dla wielu krajów muzułmańskich IX-go wieku".

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu St. K. w Wilnie: Bardzo dziękujemy za wszystkie uprzejmości. Numery wysłaliśmy.

Pani Z. M. w Łodzi: Nie będziemy drukowali. Rzecz się nadaje do pisma zawodowego.

Pani J. S. w Łodzi: „Wiedza i Życie", miesięcznik. Warszawa, Natolińska 8.

Wiernemu przyjacielowi: Wdzięczni jesteśmy za poniesione trudy, w dodatku bezimienne. Numery wysłaliśmy.

Panu K. M. w Krakowie: Uwagi Pana przekazaliśmy autorowi artykułu. Odpowie Panu listownie.

Panu J. R. w Poznaniu: Za pamięć bardzo dziękujemy. Polecenie spełniliśmy.

Pamiętnikarzowi w Tarnowie: W Nr. 1 „Epoki" z 1936 r. Roczniki dawnego „Głosu" („Przeglądu Społecznego", „Społeczeństwa") i „Widnokręgu" tylko w biliotekach. Bliższe dane znajdzie Pan w książce *Żanny Korman:* „Materiały do biliografii druków socjalistycznych". Instytut Gospodarstwa Społecznego. Warszawa 1935.

Nauczycielowi w Radomiu: „Epoka" uważa, że dziś demokracja musi pojmować walkę ze spiskami ciemnoty jako ważny obowiązek patriotyczny, walka bowiem się toczy o dobro kultury polskiej. Tak samo, jak przedtem uważała za swój obowiązek walkę o niepodległość, warunkującą moralne ocalenie narodu.

KSIĄŻKI NADESŁANE

André Malraux: Droga królewska. Autoryz. przekład *Dr. Adolfa Speisera.* Warszawa 1938. Instytut Wydawniczy „Lektura".

Helena Boguszewska i Jerzy Kornacki: Polonez. Tom II „Deutsches Heim". Powieść. Warszawa 1937. Nakładem „Naszej Księgarni". Zw. Naucz. Polskiego.

Wydawnictwa Instytutu Śląskiego, Katowice 1937: Skład Główny: Nasza Księgarnia, Zw. Naucz. Polskiego, Warszawa:

Bronisław Giziński: Postępy przemysłu chemicznego na Śląsku za czasów polskich.

Stefan Kaufman i Roman Maryniarczyk: Roboty publiczne w województwie śląskim, z 24 rycinami i z mapami.

Józef Skoczek: Stosunki kulturalne Śląska ze Lwowem w wiekach średnich.

Krzysztof Winter z Żegania: Kuźnic śląskich i kopalń opis i oznaczenie krótkie oraz *Melchior Severus* wiersz pochwalny, wraz z przekładem polskim (z tekstu łacińskiego) Alfreda Kowalskowskiego, wydał *Wincenty Ogrodziński.*

Kazimierz Tymieniecki: Kolonizacja a germanizacja Śląska w wiekach średnich.

Aleksander Szczepański: Kierunki eksportu wytworów przemysłu górnośląskiego.

Paweł Musioł: Ochotnicze drużyny robocze, z 15 rycinami.

Karol Stojanowski: Z badań nad antropologią Śląska. Skład rasowy młodzieży poborowej.

Kazimierz Popiołek: Śląsk i Polska w okresie wojen husyckich.

Karol Buczek: Ślązacy w kartografii polskiej XVI wieku. Z 2 mapami.

Augustyn Musioł i Feliks Sachse: Tańce śląskie, z rysunkami Pawła Stellera, z przedmową Dra Józefa Reissa.

Andrzej Jałowiecki: Rozwój zbytu węgla z kopalń Zagłębia Polskiego (1925—1935).

Henryk de Man: O psychologii socjalizmu. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa 1937.

Teodor Parnicki: Aecjusz, ostatni Rzymianin. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa 1937.

Bohdan Łepki: Motria. Trylogia „Mazepa" część pierwsza i druga. Przekład Marii Bieńkowskiej. Tow. Wyd. „Rój".

Stanisław Wasylewski: Na Śląsku Opolskim z 354 ilustracjami. Katowice 1937. Wydawnictwo Instytutu Śląskiego. Skł. Główny: Nasza Księgarnia, Warszawa.

Sergiusz Piasecki: Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy. Tow. Wyd. „Rój". Warszawa 1937.

Prof. Eugeniusz Tarlé: Napoleon u szczytu chwały. Wydawnictwo Współczesne. Warszawa 1937.

Adolf Nowaczyński: Cezar i Człowiek. Sztuka w trzech aktach z epilogiem. Warszawa 1937. Nakład Gebethnera i Wolffa.

L. F. Céline: Śmierć na kredyt. Mistrz Courtial. Powieść. Autoryz. przekład z francuskiego *Dra P. Starka.* Wydawnictwo „Globus". Warszawa — Kraków — Lwów 1937.

L. F. Céline: Mea culpa i Życie i dzieło F. J. Semmelweisa. Autor. przekład z francuskiego *Kazimierza Bukowskiego.* Wydawnictwo „Globus". Lwów — Warszawa — Kraków 1937.

Dr. A. Insler: Legendy i fakty Tom I. Lwów 1937. Tow. Wydaw. „Cofim". Skł. Główny: Księgarnia F. Hoesicka, Warszawa.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC 3936 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka. Warszawa, Ordynacka 3.